№ 42 Warszawa, dnia 4 (16) Października roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

KWESTYE SPOŁECZNE.

GERMANIZM.

Nasi najserdeczniejsi zarzucają nam, iż lubimy się bawić w *wielką politykę*, gdy o rzeczy najbliżej nas obchodzące nic albo bardzo mało się troszczymy. Lubo w tym zarzucie, jak w każdym zarzucie, jest nieco prawdy, bo niejednego z czytelników gazet więcej zajmują zmiany, jakie pociągnął za sobą upadek tego lub owego zagranicznego ministra, niż upadek lub wzrost produkcyi krajowych; wszelako ogół nigdy nie traci z oczu, co istotne dobro naszego społeczeństwa stanowi. Prasa nasza peryodyczna święcie dopełnia swojego zadania poruszając od czasu do czasu przeróżne miejscowe kwestye, z większem lub mniejszem powodzeniem, lecz zawsze z dobrą wolą i niekłamaną miłością sprawy ojczystej.

Do kwestyi tego rodzaju, które dziennikarstwo nasze potrąca niekiedy, należy kwestya niebezpieczeństwa, zagrażającego nam ze strony Niemców, którzy pochłonąwszy nasze prowincye zachodnie i północne wciąż wyciągają swoje chciwe dłonie coraz dalej i dalej. *Drang nach Osten* nie przestaje być godłem spadkobierców krzyżackich. Nienawiść też nasza ku plemieniu germańskiemu uzasadnione w przeszłości ma powody. Czas i okoliczności zmieniają często międzynarodowe stosunki, a zbytnia nieufność przy bezzaradności do niczego nie prowadzą, Szykany lub gorzkie żale nie zmieniają stanu rzeczy, chcąc zaś możliwemi środkami ratować się, należy przedewszystkiem *sine ira et odio* przedstawić sobie jasno, gdzie i jakie grozi nam niebezpieczeństwo. Jednym z objektywniejszych i wszechstronniejszych artykułów, traktujących o germanizacyi krajów słowiańskich, a mianowicie też polskich, jest praca pana Buczyńskiego, zamieszczona w ostatnich zeszytach *Niwy*. Pan B. ze statystyką w ręku, opierając się na cyfrach, przychodzi do pewnych trochę optymistycznych wniosków, naturalnie o tyle pewnych, o ile pewną być może chwiejna i niedość jeszcze silnie na nogach stojąca statystyka. Pan B. utrzymuje:

Że polski żywioł w Poznańskiem, w Prusach polskich i na Szlązku nietylko nie upada, lecz się wciąż podnosi dzięki wysiłkom *kulturkampfu*, który się rzucił na dwie rzeczy najdroższe każdemu żywemu społeczeństwu: na religię i język.

Że napływ ludności niemieckiej do gubernii królestwa, mianowicie zachodnich i południowych, jest wprawdzie znaczny, lecz ogranicza się tylko do miast które i tak nigdy czysto polskiemi nie były.

Że koloniści niemieccy po wsiach osiadający, assymilują się szybko z miejscową ludnością, szczególniej też jeśli są katolikami.

Że wreszcie ową siłę assymilizacyjną posiadamy w wysokim stopniu, tak iż cudzoziemcy po przebyciu lat kilkunastu u nas stają się krajowcami.

Twierdzenia te, które autor popiera wszędzie statystycznemi cyframi, jako najwymowniejszym dowodem, nie trafiają w zupełności do naszego przekonania.

Co do prowincyi naszych pod zaborem pruskim będących, przyznajemy, iż uzuchwalony laurami i miliardami zdobytemi na Francyi, germanizm zdwajając dozę ucisku, wywołał w ludności polskiej opór moralny i zwiększył jej energię; wszelako ciągłe przechodzenie własności ziemskiej w ręce niemieckie, nieustająca emigracya ludu do krajów sąsiednich, a nawet i do Ameryki, bezmyślne używanie języka niemieckiego wśród rodzin czysto polskich, wreszcie wywołane duchem czasu zobojętnienie na rzeczy dotyczące religii, wymowniej nad cyfry statystyczne dowodzą, iż germanizacya krajów słowiańskich na najlepszej jest drodze i pójdzie sobie dalej, jeżli jej nie stanie w poprzek jaka *force majeure*.

Jaki jest napływ żywiołu germańskiego po miastach królestwa, niech poświadczy Łódź, Tomaszów, Kalisz a nawet Warszawa, gdzie prawie wszystkie fabryki są w rękach niemieckich. A w tych fabrykach cały zarząd i wszystkie zyskowniejsze miejsca zajmują Niemcy, krajowa zaś ludność, jeśli ma w nich jaki udział, to oburzająco jest eksploatowaną i obracaną do najcięższych robót, których dotąd maszynami zastąpić jeszcze nie można. Przemysł nasz rozwija się i figuruje na różnych wystawach, ale jest to po większej części przemysł niemiecki wyzyskiwany w Królestwie Polskiem na korzyść Niemców. I dziwić się temu nie można: kapitał tu niemiecki, Niemcy więc tylko ciągną z niego korzyści, zostawiając nam zaledwie okruchy.

O assymilacyi żywiołu niemieckiego nie ma co marzyć; jeżli dawniej w naszych miastach miała ona miejsce, to rzecz zupełnie inna, wszystkie składowe części ustroju społecznego funkcyonowały w inny sposób i na innych warunkach, czego dowodem tyle zacnych polskich rodzin z niemieckiemi nazwiskami, których przeszłość aż nadto dowiodła, że są duszą i ciałem synami tej ziemi; dziś jeśli coś podobnego się zdarza, są to wyjątki i to rzadkie bardzo, mające swoje źródło w poczuciu sprawiedliwości i wdzięczności, lecz za to jednostki takie, powiedzmy otwarcie, uważane są przez wielki *Vaterland* za zdrajców.

Inaczej zupełnie rzeczy się mają z kolonistami niemieckiemi osiadłemi na naszej ziemi, ci jak dawniej, tak i teraz są tylko pionierami dla swoich landsmanów. Pod tym względem zgadzamy się z p. Jeleńskim, który w czasie swoich wycieczek po kraju, sprawdzić mógł rzecz na miejscu. Tylko Niemcy-katolicy nietylko po wsiach, ale i w mie-

ście uważają się za Polaków i chętnie wchodzą w związki pokrewieństwa z rodzinami polskiemi.

Ale i tu nie masz światła bez cienia: tacy przybysze myślą tylko o dobrobycie materyalnym, o zbieraniu pieniędzy; żadnych ofiar, żadnych poświęceń dla dobra ogółu wymagać od nich nie można. Jeśli wystąpią z jaką dobroczynną ofiarą, to jedynie zmuszeni do tego naciskiem opinii publicznej, albo też widokiem jakich zysków materyalnych. Takich amfibiów mamy mnogość niemałą.

Oto rzeczywisty, bez żadnych uprzedzeń skreślony obraz naszego stosunku do Niemców. Nie jest on wcale wesoły, ale też nie rozpaczliwy. Na każde złe, na każdą chorobę znajduje się zawsze odpowiednie lekarstwo, którego, jak w tym razie szukać należy nie w sztucznych kombinacyach ekonomicznych lub politycznych, lecz w samej naturze rzeczy. Jeśli nie chcemy, aby nas przytłoczył a nawet pochłonął żywioł obcy, stawmy przeciw inteligencyi Niemców nasze wyższe ukształcenie; ich cierpliwa wytrwałość niech znajdzie opór w naszej nieustającej energii, ich zabiegliwość, w naszej pilności, ich samolubne skąpstwo, w naszej rozsądnej oszczędności, wreszcie ich plemienną solidarność niech zastąpi braterska zgoda, której brak tyle nieszczęść na nas ściągnął. Zabór z orężem w ręku ustanie kiedyś, prawo mocniejszego ustąpi przed prawem sprawiedliwości, ale zabór inteligencyi popartej kapitałem trwać będzie wiecznie i ten nigdy nie ustanie Germanizm rozpierając się, pcha się ku nam, ale gdy znajdzie opór równej siły przeniesie się w dalekie strony Afryki, Ameryki i Australii i da nam pokój jako przypiętych niejako do rodzinnej ziemi, nietylko prawem natury, prawem przyrodzonem, ale rozumem, sercem i wszystkiemi siłami stawiającemi człowieka wyżej po nad świat zwierzęcy.

Nie jest-to czcza deklamacya, jakby się zdawało ludziom pogrążonym w apatyi, lecz prawda, prawda najprostsza, urzeczywistnienia której, na pociechę naszą i naszych czytelników, postrzegamy niepłonne objawy w budzącem się i zwolna ale stopniowo rozwijającem się życiu ekonomicznem naszego społeczeństwa.

JESIEŃ.

Jak smutno, tęskno spojrzyć na dąbrowy,
Gdy jesień w uścisk je chwyta,
Gdy starych dębów olysieją głowy,
Gdy wszędy śmierć się wyczyta.

Trawa pożółkła, zwiędła i usycha,
Pola nagotą swą świecą,
A zima bliska na sposobność czycha,
By spaść na ziemię z zamiecią.

Na dworze chłodno; wiatr zimny kołuje
Liśćmi zeschłymi i piaskiem,
Każda roślina szybki zgon swój czuje,
Wie, że już skona przed brzaskiem.

Jaskółki dawno strzechę opuściły,
Fruną daleko za morze,
Chłody jesienne kwiatki pomroziły,
Szarzeje nieba przestworze.

Gdzie zniknęłaś, wiosno, gdzie zieloność świeża,
Gdzie maki, stokrotki, powoje,
Niezapominajki z nad rzeczki wybrzeża,
Gdzie pszczół ruchliwych są roje.

Wszystko gdzieś znikło, a na miejsce tego
Wiatr, deszczyk, mgła przejmująca,
Zwiędnięta główka astra spóźnionego,
Albo borówka gorąca.

Lecz za to kiedy śród piękności wiosny,
Świergocze słowik z wieczora,
Kiedy głos słychać skowronka radosny,
Dla pracy ciężka to pora.

Dawne zapasy przez zimę zjedzono,
Zielone nowe jest zboże,
Jarzynę ledwie teraz posadzono,
Chleba zabraknąć więc może.

Za to jesienią spojrzyj do śpichlerzy:
Tu żyto jare, pszenica,
Tutaj znów owies, tu tatarka leży,
Tu groch wielkością zachwyca.

W piwnicy brukiew, rzepa i buraki,
A dalej sterta pietruszki,
Kapusta w głowach, pod ścianą ziemniaki,
Na matach jabłka i gruszki.

Wszego obfitość, wszędzie znać dostatek:
Krowa za drabką ma siano,
Koń owies w żłobie i mało jest chatek,
Gdzieby jedzenia nie miano.

* * *

Człowiek ma także swoje pory roku:
Wiosnę co życia ozdobą,
Lato śród wzruszeń tysiącznych natłoku,
Śród ciężkiej pracy nad sobą.

Po lecie jesień idzie nie widocznie,
Lecz ślad swój ryje na duszy:
Teraz dopiero żniwo się rozpocznie
I ziarno z kłosa wykruszy.

A jeśli żniwo plon duży przyniesie,
To człowiek tego zasobu
Będzie miał dosyć w zimowym okresie,
A potem... legnie do grobu.

Antoni A.

PANI PODKANCLERZYNA.

opowiadanie historyczne

z czasów panowania Jana Kazimierza.

przez

Michała Jezierskiego.

(Dalszy ciąg).

Narada wojenna u króla.

Wojna z kozactwem ciągle trwała, połączone ich siły wraz z Tatarami dochodziły do 350,000, szczupłe w porównaniu wojska polskie i litewskie dokonywały cudów waleczności. Król z siebie dawał przykład odwagi i wytrwałości. Wodzowie szli na czele wojska, zapał był w żołnierzach, pokonanie jednak wroga było wątpliwem, lud rozwścieklony żądał krwi tylko, a tatarzy łupów. Chmielnicki niby ciągle pragnął pokoju, a napadał na posterunki polskie, palił wsie i rabował miasta. W Sokalu skupiły się główne siły polskie i litewskie, a Jan Kazimierz wezwał wszystkich wodzów i dygnitarzy na radę wojenną. Świetny to był orszak mężów stanu i rycerzy który wtedy otaczał króla. Mikołaj Potocki w. hetman, Marcin Kalinowski hetman polny, Władysław Dominik książę na Zasławiu i Ostrogu wojewoda Krakowski, książę Jeremiasz Wiśniowiecki wojewoda ziem Ruskich, Stanisław Potocki wojewoda Podolski, Jerzy Lubomirski wielki marszałek, Adam Kisiel wojewoda Kijowski, Stanisław Lanckoroński wojewoda Bracławski, Władysław margrabia Myszkowski wojewoda Sandomierski, Andrzej hrabia Leszczyński wielki kanclerz, Hieronim Radziejowski podkanclerzy, Bogusław książę Radziwiłł i wielu innych.

Król zagaił posiedzenie temi słowy:

— Sławetni, przezacni i sercu memu mili panowie! Chociaż głowa narodu, pomazaniec Boży słucha natchnienia Bożego, ale i was panowie Duch Ś ty obdarza swojemi dary, rozwagą, rozumem i męztwem. Dary te poświęcacie na usługi Rzeczypospolitej, rada więc wasza jest głosem narodu, a vox populi, vox dei. Największą moją troską jest ta nieszczęśliwa wojna domowa, tak rozlana krew wrogów jak i potoki krwi naszej łzy mi wyciskają. Dzierżąc miecz w jednej mej dłoni, a w drugiej łaskę i przebaczenie, chciałem nieraz oręż z krwi obetrzéć i korzącemu się wrogowi przebaczyć, ale jego pokora była zawsze zwodniczą, sam zrywał układy i krwawą wojnę rozpoczynał. Dziś zgromadziliśmy wojska by go upokorzyć, wzywam więc waszej rady, czy mamy zaraz na wroga uderzyć, czy czekać póki nowo zaciężne pułki nie podwoją sił naszych. Oto przedstawiam wam list Chmielnickiego pisany do hetmana Potockiego; weźcie słowa jego pod rozwagę.

I wręczywszy list wielkiemu marszałkowi Lubomirskiemu kazał go odczytać.

Lubomirski głośno list w te słowa czytać zaczął:

„Tysiące ludzi w tej wojnie poległych powinny wstrzymać Potockiego od dalszego krwi chrześciańskiej rozlewu. Kozacy nie złamali traktatów, a jeśli całe kraje spustoszono, wsie i miasta spalono, świętynie splugawiono, winni temu Polacy... Zuchwalstwo dwóch senatorów polskich, księcia Wiśniowieckiego i Aleksandra Koniecpolskiego sprawiły, że zdeptawszy odwieczne prawa nasze, gwałcąc ustąpione nam przywileje, wyzwali nas na pole bitwy. Oba ci magnaci narazili majątki wszystkich i bezpieczeństwo rzeczypospolitej dla próżnej pompy tryumfalnej i wawrzynowego wieńca. Cóż pozostaje dla stron obu? Niestety! widzę ostateczny upadek ginącej ojczyzny, widzę upadek Polski albo Rusi, a co gorzej, widzę zrozpaczone z obu stron umysły żołnierzy, a rozpacz na wszystko się waży. My Rusini polegniemy za ojczyznę, Polacy będą się także bili za wolność i mienie. Niech więc Potocki przyjmie ostatnią i zbawienną radę, niech chwyci się środków pokoju i niech nie sądzi, że mu się poszczęści pokonać kozaków. Nieraz bowiem widziano w niewoli tego kto rokiem przedtem tryumfował i zdarzyło się że zwyciężony rano, otrzymał górę przy zachodzie słońca. My Kozacy jesteśmy mocni i wytrwali, nie podnoszą nas nazbyt w pychę zwycięztwa, nieodbierają nam odwagi porażki, niepewny bowiem los wojny, w jednej godzinie ten co gonił, może być sam do ucieczki zmuszony. Pokój bez porownania lepszy i pewniejszy jest od spodziewanego zwycięztwa, niech o tem pomyślą Potocki, Kalinowski, Radziwiłł i inni wodzowie. Jeśli wzgardzicie pokojem, dowiedźcie się, że skupią się na was niebezpieczeństwa wypływające z tajnego sprzymierzenia się z nami sąsiedzkich mocarstw.“

Po przeczytaniu listu Chmielnickiego, szmer powstał, łamały się zdania, gdy Wiśniowiecki podniósł się i rzekł:

— Dziś nie jest doba mówić o pokoju; dobyłem oręż i niezłożę go, dopóki łotra Chmielnickiego nie przyprowadzę jako jeńca do stóp tronu waszej królewskiej mości. Gdy się zetrze głowa tej gadzinie, kozacy zmilkną, wówczas co król i rada postanowi z kozactwem uczynimy. Radzę więc aby nie czekając na nowe posiłki uderzyć jutro na obóz Chmielnickiego, niedając mu czasu połączyć się jak mniemają z Rakoczym. Idźmy na Tarnopol, gdzie się znajduje Chmielnicki.

Tę radę poparł Lanckoroński i Koniecpolski, Radziwił powstawszy rzekł:

— Przybyłem z Litwy aby moim oszczepem ubić kozackiego niedźwiedzia, po drodze wszędzie rozpraszałem i tłukłem to robactwo, gdy teraz możemy go pochwycić w matnię, mamyż z nim traktować jak z jakąś potencyą. Dumny gad, uważa króla za równego sobie, a ze mną chce się połączyć pokrewieństwem, zaślubiając swego syna z siostrą mej żony księżniczką Wołoską Rozandą. Należy skarcić to zuchwalstwo, nie na dworze hospodara, lecz niech szuka sobie synowę w jakiej budzie kozackiej: Szabla Gydymina, Olgierda zawojowała niegdyś Ruś całą, potomek Lizdejki upokorzy plugawe kozactwo. Jutro z Bogiem ruszajmy na wroga.

Hetman Potocki nie rad był tym przechwałkom, gdy chciał odpowiedzieć, powstał wojewoda Kijowski i rzekł:

— Wojnę kończyć powinien pożądany pokój czyż mamy się sprawować jak zwierzęta? Należy skończyć nieporozumienia, a pokój pokona kozaków których Mars pokonać nie mógł. Niech stanie pokój upragniony, wojnę toczmy z obcymi, a przygłaskujmy ludy słodyczą spoczynku, bijmy Tatarów i Turków, szanujmy poddanych. Nie ma większej sławy dla chrześcian nad zwycięztwo nad Turkami, a nie ma gorszej niesławy, jak ssać krew poddanych. *)

Gdy po tych słowach powstał hałas i niezadowolnienie, Hieronim Radziejowski zawołał:

— Panowie posłuchajcie słów moich.

Król kazał mu mówić.

— Panowie, zaczął Radziejowski. Wiecie iż nie umiem w mych słowach używać dyplomatycznych zwrotów. Mówiłem prawdę bez ogródki nieboszczykowi królowi, teraz z tej drogi nie zejdę. Prawda choć często jest gorzką, ale użyteczną, bo ona tylko leczyć zdolna choroby narodów. Za moją radą król Władysław IV zaczął uzbrajać kozaków, tym środkiem chciałem przysporzyć narodowi memu sił nowych, chciałem z piersi kozackich dźwignąć mur od napadów muzułmańskich, a nadawszy im też same przywileje jakiemi my się cieszymy, zbratać ten dzielny ród rusiński z waleczną Polską i Litwą. Lecz wy panowie przerażeni byliście tą nową siłą, bo widzieliście w kozactwie nie pobratymców, lecz wrogów. Nie chcieliście ich wcielić do narodu swobodą, lecz grozą posłuszeństwa. A wiedźcie że nie masz ludu, któryby nie cenił i nie wzdychał do swobody: za ten dar należy każdemu człeku, z pokolenia w pokolenie przychowuje się wdzięczność. Cóż chciało kozactwo? Żądało tylko tego co my posiadamy. Czy wcieliłyby się całe kraje do nas gdybyśmy im odmówili tych prerogatyw których sami używamy? Czy możemy zjednać sobie przychylność kozactwa gdy im tych swobód odmawiać będziemy? Panowie, nie orężem jednoczą się ludy, ten środek zostawmy państwom zaborczym. Polska skojarzyła tyle prowincyi nie orężem lecz swobodą; na to hasło Czesi i Węgrzy ofiarowali naszym królom swe korony, niezmieniajmy tradycyjnej naszej siły która spoczywa w swobodzie. Nadajmy ją kozactwu, wymagania Zbarażskie nie były dla nas upokarzające, upokorzenie było w tem tylko, że to co z własnego naszego popędu powinni byliśmy im udzielić, oni wymogli orężnie. Nikt mnie nie posądzi o tchórzostwo, lecz oświadczam przed wami i całym narodem, iż jestem przeciwny tej krwawej domowej wojnie. Posłuchajmy rad dzisiejszego naszego wroga, wyślijmy komisarzy, niech będą opatrzeni w moc nadania tychże swobód jakich używamy sami, a życiem mojem ręczę, że obszary wschodnie będą jedną nierozerwalną całość tworzyć z nami.

Ta śmiała mowa wywołała wielkie oburzenie; wszyscy poczęli mówić razem, docinki i ostre słowa rzucano na Radziejowskiego. Wiśniowiecki nazywał go kozakiem, Leszczyński tchórzem, Koniecpolski zdrajcą, Radziwił porwał się nawet do szabli. Po stronie Radziejowskiego stał Kisiel, książę Zasławski i hetman Potocki, który odezwał się do zwaśnionych:

— Porywczość nie cechuje mężów stanu: król potrzebuje w tej chwili nie kłótni, lecz rozwagi i rady. W swobodnym kraju każdy swe zdanie ma prawo wypowiedzieć; hałas ten i spór do niczego nie wiodący, ujmuje cześci należnej najjaśniejszemu panu. Pójdźmy panowie za większością głosów.

Po zebraniu głosów znaczna większość była za wojną, za natychmiastowem uderzeniem na wroga.

Nazajutrz król po nabożeństwie przyjąwszy ś-tą komunię, o brzasku wystąpił w pole i szyk bojowy urządził. Środek zajęły działa któremi dowodził jenerał artyleryi Przyjemski Zygmunt. Sam front tworzyła wyborna piechota księcia Radziwiła i gwardya królewska, którą dowodził Krzysztof Ubaldi. Za nią szły pomocnicze chorągwie kopijników. Prawe skrzydło król powierzył Mikołajowi Potockiemu w. hetmanowi, przy boku jego znajdowali się Lanckoroński, Jerzy Lubomirski, Leon Kazimierz Sapieha i Aleksander Koniecpolski. Lewe skrzydło dano Marcinowi Kalinowskiemu, hetmanowi polnemu, któremu towarzyszyli ze swemi chorągwiami Jeremiasz książę Wiśniowiecki, Jan Szczawiński i Stanisław Potocki wojewoda Podolski. Środkiem wojska z żołnierzy niemieckiego autoramentu i kopijników sam król dowodził.

Pierwszy Chmielnicki z hanem Krymskim z wielką natarczywością rzucili się na szyki polskie, lecz gromy dział królewskich powstrzymały ich zapęd i wnet król rozkazał na lewem skrzydle bój rozpocząć. Natychmiast ruszył na nieprzyjaciela książę Wiśniowiecki z dwónastu chorągwiami doświadczonego żołnierza, wspierały go z tyłu chorągwie lekkiej jazdy i szlachta województwa Krakowskiego, Sandomirskiego i Łęczyckiego. Sam książę jechał na przodzie z dobytą szablą w obnażonym po łokieć ręku. Zacięta bitwa zawrzała, obie strony potykały się mężnie. Tatarzy w niesfornych lecz olbrzymich tłumach godzili na tyły i skrzydła, już zwycięztwo wymykało się z rąk polskich, gdy król posłał nowe chorągwie ciężkiej jazdy, których niczem niewstrzymane natarcie zapewniły wygranę. Kozacy zamknęli się w taborze, a Chmielnicki z hanem schronili się na wierzchołek góry. Złamawszy nieprzyjaciela na wszystkich punktach, król całe wojsko posunął ku owej górze, na której Chmielnicki zdołał zebrać co miał najlepszego żołnierza i kilka działek. Dwie kule harmatnie przeleciały obok króla, jedna u stóp jego zaryła się w ziemię, Jan Kazimierz nie zmienił jednak obranego stanowiska. Gęsto sypały się strzały, rycerstwo polskie wdzierało się na górę. Szeregi tatarskie padały, obok hana polegli jego dostojnicy. Nieprzyjaciel poszedł w rozsypkę. W przeciągu czterech godzin rozproszono 300,000 tej zbrojnej zbieraniny.

Gdy spostrzegł Chmielnicki że Tatarzy pierzchają, że kozactwo się chwieje i także do ucieczki się zbiera, lękając się aby nie wpadł w ręce polaków, wraz z hanem uszedł z pola bitwy. Kozacy dowiedziawszy się że han z Chmielnickim skryli się, poczęli naradzać się o obraniu nowego wodza, którym zamianowali Dziedziatyna.

W ręce polskie dostał się obóz hana, bęben srebrny, zegar, naczynia różne, nawet ulubiony jego napój z kobylego mleka.

Nazajutrz król ściślej otoczył kozaków, którzy błagali o przebaczenie, lecz król odmówiwszy ich prośbie; rozkazał w około góry wznosić reduty, kopać fosy i sypać wały. Kozacy straciwszy nadzieję łaski królewskiej, w nocy pobudowawszy mosty, cichaczem zostawili tabór i ratowali się ucieczką. O świcie ujrzeli Polacy tabor pusty, popędzili w ich ślady i jeszcze około 10,000 znieśli do szczętu. Utracona była wszakże sposobność całkowitego zniszczenia kozackiego wojska, pomimo to zwycięztwo było zupełne.

Król Jan Kazimierz, okryty sławą wracał do Warszawy, zdawszy rząd nad całem wojskiem hetmanom Potockiemu i Kalinowskiemu. Królowi towarzyszyli do stolicy, wielki kanclerz Andrzej Leszczyński, Stanisław Zaremba biskup Kijowski, Bogusław Leszczyński wielki podczaszy, Adam Kisiel wojewoda Kijowski i podkanclerzy Radziejowski, powozy były królewskie, lecz że ich było za mało, po dwóch dygnitarzy jechało w jednej kolebce. Wypadło więc Radziejowskiemu jechać razem z Kisielem. W czasie podróży, taka następna między nimi zawiązała się rozmowa:

— Co wasza miłość wróżysz z naszego świetnego zwycięztwa? zapytał Kisiel Radziejowskiego.

— Najprzód panie wojewodo, odrzekł podkanclerzy, nie jest to zwycięztwo nad nieprzyjacielem, lecz tylko jego chwilowa porażka, wszakże i my nieraz byliśmy pobici, a nasze siły pozostały; kozactwu niebraknie ludzi, a Tatarami chciwymi łupu, połowa Azyi zaludniona; wojna znów się rozpocznie.

— Ale ucieczka Chmielnickiego, mówił wojewoda, zniszczy wpływ jego między kozakami, jedyny ratunek dla niego poddać się królowi, błagać o przebaczenie i na pewnych warunkach ustalić pokój.

— Zapewne, odrzekł Radziejowski, Chmielnicki będzie usiłował przeprosić króla. Król da się przebłagać, panowie nasi będą traktować o pokój, ale ten jeśli nastąpi, musi się zerwać; gdyż nie będzie to pokój, ale koncessya. Narody tylko podbite mogą się zadawalniać koncessyami. Naród zjednoczony potrzebuje swobody.

— Wierzcie mi, przerwał Kisiel, iż z kozakami do zgody przyjśćby można, wymagania ich nie byłyby za wielkie, ale Chmielnicki przy pokoju Zbarażskim będzie się upierał, jest to człek dumny, pragnący nie hetmańskiej, ale książęcej władzy.

— Znałem go niegdyś, był to szlachcic polski, przywiązany do kraju swego i zamiłowany w ukochanej Rusi; długo patrzył na niesprawiedliwości tam popełniane, bolał nad niemi i marzył o polepszeniu bytu Rusi. Nigdy nie powstało mu jednak w myśli buntem domagać się uszczęśliwienia drugiej swojej ojczyzny; na legalnej drodze sądził że wszystko dostanie. Ale gdy nastąpił haniebny wypadek, gdy wydarto mu żonę a syna ubito, zemstą zawrzało mu serce, zemsta stała mu się celem wszystkich jego czynów, dla niej poświęciłby i Polskę i Ruś ukochaną; a wiecie dobrze że pragnienie zemsty tylko krwią zgasić się może. Odtąd stał

*) List Chmielnickiego, narada wojenna i mowa Kisiela wzięte są z historyi p. Radowskiego, tłomaczenie Spasowicza.

się wrogiem Polski, znienawidził magnatów, i tą zemstą zaraził ducha całej kozaczyzny. Z mieczem i pochodnią w ręku biegł z tłuszczą na zniszczenie kraju. Tak panie wojewodo, nie duma, ale zemsta jednego człowieka wywołała tę wojnę.

— Nie, panie podkanclerzy, zemsta może się spełniać na jednym człowieku, ale nie na całym narodzie; to duma go wiedzie, syna żeni z udzielną księżniczką, a sam chce być panem nad Rusią, Wołoszczyzną i Multanami.

— O! panie wojewodo, dobroć twego serca nie może pojąć rozmiarów tej strasznej namiętności; gdybym ja nie daj Boże, takim ciosem został dotknięty, gdyby na mnie taki gwałt się spełnił, gdyby mi wydarto żonę, gdybym nigdzie nie mógł znaleźć sprawiedliwości, wówczas nie ręczyłbym i za siebie, żadne święte uczucie nie powstrzymałoby mnie od zemsty chociażby najstraszliwszej, stałbym się nieubłaganym mścicielem.

— Przypuszczacie rzeczy nieprawdopodobne panie podkanclerzy, gwałt tego rodzaju mógł się popełnić na Rusi, ale nie w Polsce.

— Dlatego tylko powiedziałem to panie wojewodo, ażeby dowieść iż pojmuję zemstę Chmielnickiego, z tego powodu wiele mu przebaczyć należy i chwycić się pierwszej sposobności do zgody, aby zatrzeć krzywdy mu wyrządzone i zakończyć tę krwawą walkę.

— W części macie słuszność lecz trzeba działać z wielką ostrożnością, gdyż do trwałego pokoju istnieją dwie przeszkody; z jednej strony zbuntowana czerń kozactwa, która nie łatwo broń złoży pomimo rozkazu naczelników, z drugiej będzie zawsze stać na zawadzie buta naszych panów.

Uczta u miecznika Zamojskiego.

Powrót Jana Kazimierza do stolicy odbył się przy wielkim zapale ludu, tłumy u bram miasta go czekały, szlachta prawiła mowy o osobistem męztwie króla, a panie najpierwszych rodów przy zamku się zebrały; każdy chciał ujrzéć króla zwycięzcę. Wieczorem rzęsisto oświetlono całe miasto a miecznik Aleksander Zamojski zapraszał wszystkich na ucztę, którą na cześć króla wydawał.

Radziejowski wróciwszy do swego pałacu, najserdeczniej powitany był przez żonę, zarzucała go tysiącznemi pytaniami o wojnie, o zwycięztwie, a najbardziej o królu, z zapałem podnosiła jego zalety, mądrość i odwagę, twierdząc iż jest najpierwszym bohaterem w Europie.

Radziejowski niezwykły wdawać się w politykę z niewiastami, uśmiechnął się tylko z jej entuzjazmu i rzekł dość wesoło:

— Moja Anno, polityka nie jest zajęciem kobiet, zawiele mają one serca i uczucia, aby się zajmować temi sprawami, które potrzebują rozwagi i krwi zimnej; nam to zostawcie, nasze powołanie radzić o pomyślności kraju a wasze wspierać i bronić. Powiem ci coś weselszego jak wypadki wojenne: jesteśmy zaproszeni na wielką ucztę, którą daje miecznik Zamojski na cześć króla.

— Kiedy? zapytała z rozognionym wzrokiem podkanclerzyna. Czyliż dosyć będzie czasu do przygotowania stroju?

— Za trzy dni, odrzekł Radziejowski, nie żałuj wydatków aby świetnie się okazać na pokojach miecznika, to pewno że wszystkich zaćmisz urodą, chciałbym abyś równie zaćmiła i strojem. Całą moją chlubę złożyłem w tobie.

— Dobrze, wszystko się stanie według twej woli, rzekła Radziejowska, każ mi przywołać Tyzenhauza muszę go wysłać w różne strony miasta za rzeczami, których mi nie staje.

Radziejowski trochę brwi zmarszczył i rzekł:

— Ten młodzieniec mi się nie podoba, nie chciałbym abyś go używała do posług swoich.

Pani Podkanclerzyna oburzona że mąż śmie się mieszać do jej sług i oświadczył stanowczo swe niezadowolnienie, zawrzała gniewem, aż twarz jej spłonęła rumieńcem.

Radziejowski udał że nie dostrzegł tego i wyszedł z komnaty; wnet kazał przywołać do siebie Tyzenhauza a gdy ten wszedł i skłonił się uniżenie, rzekł mu:

— Pani podkanclerzyna ma waści posłać po jakieś sprawunki, idź spełnić jej rozkazy.

Młodzieniec na wzmiankę o podkanclerzynie zadrżał i ledwo krew nie trysnęła mu z twarzy, ledwo mógł wymówić słowo „idę“ i spiesznie opuścił komnatę.

Te dwa rumieńce, jak dwa płomienie zapiekły serce podkanclerzego, pomyślał że to rzecz nienaturalna. Na wzmiankę o Tyzenhauzie żona spłonęła, a gdy jemu wspomniał o swej żonie zadrżał i zarumienił się. Postanowił więc zbadać czy pod temi rumieńcami nie ukrywa się jakaś ważniejsza tajemnica. Była to jednak myśl przelotna tylko o której wkrótce zapomniał.

Nadszedł dzień uczty u miecznika Zamojskiego; panna Marta Hirszówna stroiła swą panią w milczeniu: widząc podkanclerzyna niezwykłą posępność panny Marty, zapytała:

— Co tak dziś masz zachmurzone czoło, czy nie odebrałaś jakich złych wieści od rodziców?

— Nie j. w. pani wszystko u nas spokojnie, nie ma tych dramatów które odegrywają się na wielkim świecie: praca, modlitwa i miłość zapełniają życie.

— To musicie okropnie się nudzić, moja Hirszówno?

— Spokój jest największem szczęściem, nie znamy tych burz, które mącą życie.

— Gdzie ty to widzisz te burze moja Hirszówno?

— Przyznam się j. w. pani, że z charakterem pana podkanclerzego człek zawsze jest w obawie aby jaki grom nie spadł na jego głowę. Pan podkanclerzy ma nas za sługi nie za rezydentów i dworzan. Nienawidzi młodego Tyzenhauza, zawsze groźnie na niego patrzy a słowem zawsze go ubodzie. Przecież nic mu nie zawinił, obowiązki swe spełnia, dla pani gotów z siebie każdą ofiarę uczynić, jest jej dworzaninem, sekretarzem, a przytem krewniakiem choć dalekim...

— Masz słuszność, mąż mój go nienawidzi, ale on jest moim sługą, nie ma więc do niego żadnego prawa; powiedz Tyzenhauzowi niech będzie spokojny.

Hirszówna ucałowała rękę pani, kontenta że zręcznie osiągnęła cel zamierzony, kończyła ubranie.

Podkanclerzy oczekiwał na żonę w bawialnej komnacie, gdy weszła uderzony został blaskiem jej piękności którą strój spotęgował jeszcze. Cała była we mgle koronek osypanych jakby rosą brylantów, wydawała się jakby jaką istotą nadziemską. Radziejowski rzekł całując ją w rękę:

— Moja pani, przybywasz niby z Olimpu, aby wszyscy śmiertelni uniżyli swe kolana przed tobą, co do mnie dumnym się staję widząc że takie bóstwo jest moją własnością.

Uśmiechnęła się podkanclerzyna, zadowolniona z wrażenia które na mężu uczyniła i obaj małżonkowie udali się do pałacu Zamojskiego.

Zdaleka pałac jaśniał rzęsistem oświetleniem, powozy ciągle się mijały, tłum gości napełniał obszerne komnaty, balowa sala przybrana była w festony i girlandy z kwiatów, w głębi stało marmurowe popiersie króla uwieńczone laurowym wieńcem. Gdy dano znać że król się zbliża, pan miecznik z panią miecznikową zeszli ze schodów i wprowadzili go.

Damy u drzwi go oczekiwały, każda chciała być pierwszą w powitaniu, król uprzejmie skłonił się wszystkim i wnet chór spiewaków wykonał hymn na cześć jego, umyślnie na tę uroczystość napisany. Gdy stojąc go wysłuchano, zabrzmiała na chórze muzyka i pierwszą parę poloneza poprowadził pan miecznik z królową Maryą Ludwiką, a w drugiej szedł król z gospodynią domu. Potem według dostojeństwa brał różne matrony do tańca, przyszła niebawem kolej na panią podkanclerzynę, rozmowa między niemi stała się ożywiona i czas musiał prędko upływać, gdyż nad miarę przedłużył się taniec, co nie uszło uwagi pań zazdroszczących tej względności króla. Rozpoczęły się inne tańce, król zamieniwszy kilka słów z różnymi dygnitarzami, usiadł obok pani Radziejowskiej, i ciągle wiódł z nią rozmowę. Pan podkanclerzy z uwielbieniem patrzył na żonę, pochlebiała mu ta grzeczność królewska i cześć oddana królowej balu. W tłumie gości, spostrzegł on podkomorzego Podlaskiego, sąsiada Kryłowa, który często go odwiedzał gdy podkanclerzy bawił w dobrach swoich. Był to człek zacny, otwarty, co miał na sercu to koniecznie wypowiedzieć musiał; wielka zażyłość panowała między nimi. Uradowany Radziejowski z tego spotkania uściskał serdecznie podkomorzego, posadził obok siebie, wypytywał się o urodzaje, o dzieci, o sąsiadów, a że w wesołem był usposobieniu, różnemi żartami ożywiał rozmowę, wzrokiem śledząc jednak za każdem poruszeniem żony, bo choć odurzony jej urokiem, widział jednak że i król pod tymże zostawał wpływem. W końcu rzekł do podkomorzego:

— Nie winszujesz mi kochany podkomorzy, żem się nareszcie ożenił: Patrz, tam naprzeciw nas ta prześliczna kobieta w koronkach osypana brylantami, to moja żona.

— Lat temu dziesiątek miałem zaszczyt być przedstawionym owczesnej pani marszałkowej nadwornej; ha! czas nie wyrył żadnego wpływu, dziś wydaje mi się jeszcze piękniejszą.

— Patrz z jakiem uwielbieniem król na nią spogląda; jest to hołd rycerza oddany piękności i wdziękom.

— Myślałem że to uczucie dawno już przeszło, odrzekł dobrodusznie podkomorzy.

— Jakie uczucie? porywczo przerwał Radziejowski.

— To dawne dzieje, mój podkanclerzy. Mówiono ongi, że król będąc księciem Raciborskim kochał się w pani Kazanowskiej, ale zapewne nie było to prawdą, albo też król jegomość zmienia swe upodobania, wszak był rycerzem, potem duchownym, później królem, a teraz się ożenił.

Rozmowa dalej już nie szła gładko, Radziejowski rozmyślał i milczał upornie, wąs podkręcał, a powstawszy po chwili oddalił się od podkomorzego. Pobladł, usta zacisnął, zazdrość, ten potwór szarpiący zakochanych, rwała jego serce. Teraz już innym wzrokiem patrzył na żonę, w uprzejmości widział zalotność, w grzeczności króla hańbę a w postępowaniu żony wyczytywał zdradę. Długo stał na uboczu zatopiony w tych czarnych myślach, aż rzekł jakby sam siebie pocieszając:

— Nie wierzę słowom podkomorzego, jednak coś w tem być musiało, ale siłą mej woli nie dopuszczę sromoty, niedozwolę aby dom mój został splugawiony. Spojrzał na żonę, król trzymał jej rękę z ogniem coś mówiąc do niej: gniew i zazdrość jak lawa wrzały w duszy podkanclerza, czekał dopóki

król się nie oddali, każda minuta była dla niego wiekiem; nareszcie król wdał się w rozmowę z posłem casarstwa Rzymskiego. Radziejowski skorzystał z tej chwili i przystąpiwszy do żony rzekł krótko:

— Wyjeżdżamy.

— Czyś oszalał! zawołała podkanclerzyna, gdy uczta w całej pełni, my ją opuszczać mamy?

— Wyjeżdżamy w tej chwili.

— Nie mogę, król zamówił mnie do menueta.

— Przeproszę króla, jestem chory, wyjechać muszę.

I wnet przystąpiwszy do króla, rzekł:

— Najjaśniejszy panie! racz darować że żona moja nie może korzystać z zaszczytu aby z waszą miłością tańczyć. Cierpienie którym często podlegam schwyciły mnie gwałtowie, musimy te gościnne progi opuścić. Niespokojność mej żony byłaby zbyt wielka, nie mogłaby się tu weselić gdybym ja jęczał w boleściach.

— Przywykłem do niespodziewanych wypadków, odrzekł król, i ten za niefortunny dla siebie zaliczam, boleję nad waszą chorobą, daj Boże w dobrem zdrowiu ujrzeć was niedługo.

Otrzymawszy taką odpowiedź, pobiegł Radziejowski do żony i rzekł:

— Wszystko załatwiłem, król cię uwalnia od tańca, jedziemy.

Gdy podkanclerzyna nie wstawała z miejsca; ujął jej dłoń tak silnie, że zmusił do powstania i prowadząc prawie przemocą wyszedł aż na ganek i wnet opuścili pałac miecznika Zamojskiego.

W ciągu drogi panowało głuche milczenie. Radziejowski trawiony zazdrością, tłumił to uczucie, aby nie wybuchło w słowach wyrzutu pełnych. Pani podkanclerzyna nie miała o co pytać, gdyż postępowanie męża było zbyt jawnym dowodem uczucia jakie nim miotało.

Pierwszy raz stanął jej na myśli marszałek nadworny, jego uległość, dobroć i cierpliwość, swoboda jaką miała a która była warunkiem jej szczęścia. A jednak sama wówczas pragnęła wyjść jak najprędzej z tego błogiego stanu; pierwszy raz sumienie w niej się odezwało i zapytała sama siebie: czy też nie była przyczyną jego śmierci? W porównaniu z Kazanowskim Radziejowski był tyranem, przez całą więc drogę przemyśliwała jakim sposobem wyswobodzić się z tego jarzma.

Gdy przybyli do domu, Radziejowski trochę z swych wrażeń ochłonąwszy zadowolniony był z tej sceny, gdyż dał poznać żonie aby miała się na baczności, i przekonał ją że zalotności nie ścierpi a nieoględne postępowanie skarcić potrafi. Z ugrzecznieniem dworskiem wprowadził ją do jej komnaty: podkanclerzyna uczuła, że nie jest jeszcze dość silną aby z nim otwarcie walczyć mogła i obie strony nie wspomniały o przyczynie nagłego wyjazdu, rozmowę prowadząc o świetności uczty i o osobach które tam były.

Młody Tyzenhauz miał wadę ciekawości i posuwał ją aż do podsłuchiwania pode drzwiami, nieraz już zdarzyło mu się wysłuchać rozmowy podkanclerzyny z Hirszówną, z których się przekonał że panna Marta była najszczerszą jego przyjaciółką; wdzięcznym jej był za to, i gdyby nie szalona miłość jego dla podkanclerzyny, pewno całem sercem ukochałby poczciwą Hirszównę. Wiedział też o niechęci dla siebie Radziejowskiego, a że był ciekawym czy w tej chwili o nim nie mówią, ucho przyłożył do dziurki od klucza i z wielkiem wsłuchiwał się zajęciem.

W tem drzwi się otworzyły, podkanclerzy wychodził, Tyzenhauz w bok uskoczył, lecz było już zapóźno, Radziejowski widział że go podsłuchiwano. Zazdrość, gniew, podejrzenie, zawrzały w jego sercu, owe rumieńce, stanęły mu przed oczyma, ale nie chcąc robić hałasu skinął tylko ręką na Tyzenhauza aby szedł za nim. Przyszedłszy do swej komnaty zatrzasnął drzwi i rzekł groźnie:

— Coś robił pode drzwiami? Mów otwarcie, jeśli nie chcesz abym kijem wydobył prawdę z ust twoich!

— Podsłuchiwałem, hardo odpowiedział Tyzenhauz.

— Czy co sprośniejszego jeszcze nie miałeś na myśli? krzyknął z gniewem podkanclerzy i pochwyciwszy go za barki wstrząsnął nim i krzyknął:

— Mów łotrze!

— Nie miałem innej myśli, w niczem się więcej obwinić nie mogę.

— Mów! bo ci tym czekanem głowę roztrzaskam! i podkanclerzy podniósł laskę.

— J. w. panie pamiętaj że jestem szlachcicem i krewnym pani podkanclerzyny.

To jedno słowo „szlachcic“ wstrzymało Radziejowskiego, postawił czekan i rzekł:

— Za godzinę niech mi twego śladu w pałacu moim nie będzie, zabierz manatki i ruszaj na cztery wiatry. Jeśli tej nocy nie opuścisz domu mojego, jeśli cię jutro zobaczę, wówczas i szlachectwo twoje nie powstrzyma mego gniewu, i jak z podłym sługalcem z tobą postąpię.

Tyzenhauz wyszedł wrząc gniewem na doznaną obelgę, prędko się spakował, sprowadził wózek, lecz przed wyjazdem udał się do pokoju panny Hirszówny. Kilka razy do drzwi zastukał, a panna Marta poznawszy po głosie Tyzenhauza, zmieszana odrzekła że go puścić nie może w tak spóźnionej dobie, ale Tyzenhauz nalegał, mówiąc że idzie o rzecz wielkiej wagi, że przyszedł na chwilę aby ją pożegnać, gdyż dom podkanclerzego tej nocy opuszcza. Panna Marta zdziwiona i zatrwożona, zarzuciła co prędzej szlafroczek na siebie i drzwi odemknęła. Tyzenhauz opowiedział obejście się z nim podkanclerzego i prosił aby o tem uwiadomiła swoją panią.

— Ona was nie opuści zawołała Hirszówna, a gdybyście w niej znaleźli niewdzięczność, gdyby wszystko zdradziło was na świecie, wspomnijcie że macie we mnie przyjaciółkę i serce, na wszelkie poświęcenia gotowe.

— O dobra panno Marto! odrzekł młodzieniec, anielską masz duszę i gdyby nie zawady które spotkałem w mem życiu, gdyby nie szalona gorączka, namiętności i żądza wyniesienia się, upadłbym do nóg twoich, bo wierzę iż prawdziwe szczęście znalazłbym tylko przy tobie!

— Gorączki mijają, odrzekła Hirszówna, chwila przesilenia często uzdrawia, a gdy jeszcze pozostaną jakie niezgojone rany, ja moją pieczołowitością i łzami je zagoję, zatrę przeszłość z twej pamięci, abyś poznał życie nowe, którego uroku dziś jeszcze pojąć nie możesz.

— Wszystko to prawda moja droga panno Marto, rozum to wszystko pojmuje, ale sercem jeszcze tego odczuć nie mogę. Może kiedyś skołatany burzami, przyjdę jako pielgrzym z dalekiej wędrówki, prosić cię o łzę litości. Marto! wówczas ty mnie nie odtrącisz.

Pożegnanie było serdeczne: Hirszówna prosiła Tyzenhauza, aby z Warszawy się nieoddalał, póki jego sprawy nieprzedstawi podkanclerzynie i póki jakiegoś o nim nie zrobi postanowienia.

Tyzenhauz wymienił dom gościnny gdzie się zatrzyma, ucałował serdecznie rękę Marty i nocą wyjechał z dworu podkanclerzego. (d. c. n.)

Korespondencya ze Lwowa.

Lato we Lwowie.—Festyn ludowy.—Nasze ogródki.—Wysoki Zamek, Ogród miejski. Gmach sejmowy, Szpital dziecięcy Ś-tej Zofii.—Nowe książki.—Nasza nędza i walka z nią. — Przyjazd cesarza. — Zachowanie się ludności.

(Dokończenie).

A tout seigneur tout honneur—zaczynam od płci nadobnej. *Poezye* Maryi Bartus, wyszłe w wydaniu *drugiem*. Rad jestem, że ten wyraz *wydanie drugie* mogę napisać, tak rzadko bowiem u nas podobny wypadek się zdarza i to poezyom! A jednak panna M. Bartus, zaledwie od lat 4 więcej znana, doczekała się tego zaszczytu. Czem to wytłomaczyć?

Mimo błędów językowych, mimo braku techniki, która się w pewnej chropowatości przebija, mimo wad rytmiczności i harmonii tu i owdzie rozsianych, mimo nakoniec największej wady w treści, to jest egotyczności przepełniającej cały tomik, jest coś pociągającego w tych poezyach, a tem czemś jest prawda uczucia. Młoda poetka musiała głęboko boleć, musiało życie targnąć za najdelikatniejsze struny wierzącego i kochającego serca, kiedy mogła wydać tak przejmujący krzyk żalu, kiedy tyle gorzkich łez spłynęło z jej pióra. Jedyną, widać, ucieczką była kontemplacya piękności natury, ona wzbogaciła wyobraźnię poetki wdzięcznemi porównaniami i obrazami, które podnoszą wartość zewnętrzną tych skarg serdecznych. Najwięcej siły uczucia i zalet wyrażenia mają sonety: „Myśli przedślubne“. Sądzimy jednak że p. Bartus mogłaby na obszerniejsze wstąpić pole; zamknąć się w ciasnem kółku wypowiadania własnego bólu, byłoby szkoda. Tyle serc cierpi na ziemi, wartoby i o nich szczęśliwym przypomnieć.

Przed niedawnym czasem ukazał się III tom *Poezyj* E...lego (Asnyka). Z wyjątkiem bledszych nieco obrazków opisowych z Tatr, tom ten zawiera wiele miernych rozmiarów rzeczy, ale za to pierwszorzędnej piękności. Obok wytwornej formy i głębi uczucia zdrowego bardzo, jest mnóstwo szlachetnych i wzniosłych myśli, które są rzeczywistym karmem dla nas wszystkich. Poeta z wysoka ale czujnie przygląda się ogólnemu ruchowi różnym prądom nowoczesnym i kierunkom, i ostrzega lub przepowiada. W tym rodzaju piękny jest wiersz: *Do młodzi*. W ogóle ten tom godny jest dwóch poprzednich.

Rzadkiem u nas zjawiskiem jest publikacya nosząca jasno o dziele mówiący tytuł: *Wzory przemysłu domowego. Hafty włościan na Rusi, wydane przez Muzeum przemysłowe miejskie*, Lwów, *zestawił Ludwik Wierzbicki* (członek zarządu tego Muzeum). *Rysowała Helena Komorowska* (uczenica szkoły rysunkowej tegoż zakładu) litografia Towarzystwa przemysłowego. Rzecz sama z siebie bardzo ciekawa i pożyteczna, zaleca się bardzo pięknem wykonaniem, tak pod względem rysunku, wierności i czystości barw, a tem cenniejsza że zrobiona w kraju. Układ gustowny, wybór szczęśliwy. Śmielibyśmy radzić pięknym czytelniczkom, żeby nabywały to dzieło. Francuzi i Niemcy skorzystali z wystawy lwowskiej i zużytkowali oryginalne pomysły naszego ludu, zdobiąc bieliznę stołową, firanki, portyery i wszelkie tkaniny wywiezione od nas motywami. P. Jan Czubski wydał *Śpiewnik polski dla ochronek*. Jest to bardzo przydatny zbiorek dostępnych dla umysłu dziecięcego piosneczek z muzyką.

Bardzo użyteczną i pięknie napisaną książką jest dzieło: *Dzieje najnowsze* (1789—1871) opowiedziała dla młodzieży Jadwiga Sawczyńska. Istotnie brak takiego podręcznika uczuwać się dawał i autorka wielką uczącym się oddała przysługę. Ładna powiastka pani Zofii Schwartzowej: *Dwie Bratowe* wyszła świeżo w *Bibl. powieści i podróży* Gubrynowicza i Schmidta: Wiadomo że utwory tej autorki oznaczają się zdrową moralnością. Z obowiązku sumienia kronikarskiego wspominamy jeszcze jedną powieść przez panią i pannę Arję: *Dowcipny pomysł* Utwór ten jak dwie nowelle Chorośnickiego *Umarła* i *Noc księżycowa* zapowiadają talent, ale... trzeba czasu i pracy.

Pomijam kilka dzieł, jako zbyt specyalnych, ale cobym szanownym Czytelniczkom zalecił, to przeczytanie *Szkiców historycznych* D-ra Ludwika Kubali. Oparte na szczegółowych studyach *Szkice* oprócz wierności i sumienności mają tę rzadką zaletę, że się czytają jak najzręczniejsza powieść: przedstawiają one czasy Jana Kazimierza, ale choć epoka jest tak smutna, autor tak zająć potrafił, że oderwać się od książki niepodobna. Obrazy malowane są z całem bogactwem barw, jakiemi tylko pisarz rozporządzać może, a gdy obok tego i świetność stylu i szczególna umiejętność układu rzecz podnoszą, ogromna dramatyczna siła porywa czytelnika i odetchnąć do końca Szkicu nie daje. Tak więc, jakkolwiek ciężkie są warunki a szczególniej latem, ruszamy się, jak możemy. Przyznać wszakże trzeba, że w Galicyi ruch istnieje wysileniami pewnej tylko części ludności. Ogół zapada w jakiś stan odrętwienia, ospałości czy zobojętnienia. Zanadto bowiem trosk ciąży na naszych barkach, zanadto trudno jest żyć w kraju zubożonym do ostatecznych granic, na samym brzegu przepaści, która się bankructwem nazywa. Szczęściem czerstwiejsze umysły, silniejsze dusze pracują czynnie nad rozbudzeniem w ogóle popędu do obrony przeciw nędzy, krzątają się około podniesienia przemysłu, zawiązane towarzystwa walczą odważnie, dziennikarstwo szczerze zajmuje się tym stanem i otwiera szerokie łamy dla prac ekonomicznych, dla wszelkich projektów i pomysłów: nakoniec Wydział krajowy i Rady powiatowe coraz energiczniej działać poczynają i przedsiębiorą środki mogące uchronić kraj od klęsk ekonomicznych. W wielu razach i rząd party przez sejm, Wydział krajowy i dziennikarstwo, choć w części przyczynia się do tej ogólnej pracy. Powolna jest to praca, ale mamy nadzieję, że zdoła nas wcześniej czy później uratować. Dziś tylko obawiamy się rozkładu nowego podatku gruntowego, któryby według tej nowej skali zrujnował tak włościan jak właścicieli większych posiadłości.

Troska ta wszakże o chleb codzienny i wszelkie inne zajęcia umysłów ustąpiły na razie w obec przyjazdu Cesarza do Galicyi. W przyjęciu dostojnego gościa jedna głównie uderza okoliczność, to jednomyślność wszystkich wyznań, zgodne i wspólne działanie i porządek, który nigdzie i niczem zakłócony nie został, nakoniec powaga i takt w zachowaniu się mass. Szczególniej we Lwowie, gdzie tłumy były olbrzymie, gdzie niesłychanej wspaniałości illuminacya i czarodziejski pochód z pochodniami, z 6,000 osób złożony, ściągał na jeden punkt ogromne ilości ludzi, było to coś w zdumienie wprawiającego widzieć straż obywatelską spokojnie i w ciszy spełniającą trudne zadanie manipulowania tłumem i tłum postępujący wszędzie jakby zgromadzenie ludzi jak najlepiej wychowanych. Trzeba bowiem wiedzieć, że ani jednego policyanta nie było na ulicach, a ponieważ cała załoga była na manewrach, więc i żołnierz był rzadkością w mieście. Ta powaga, to pełne godności i uległości postępowanie mass, nadzwyczajny porządek najwięcej podobno zaimponowały monarsze. Bale były olśniewające, ale, by je opisać, potrzebaby cały list im poświęcić, a mnie, sądzę, wypada już zakończyć moją gawędę.

Przegląd literatury zagranicznej.

Uwagi nad psychologią zwierząt.

(Dokończenie).

Władza rozróżniania, czyli sąd o rzeczach, będący główną cechą wszystkich zwierząt, jest usposobienie duchowe zwierzęcia; rozróżnianie zaś samo jest czynem, działaniem, mocą przyrodzonej władzy, na zewnątrz występującym. Zwierz każdy osądza to co mu za pożywienie służyć może i wybiera mieszkanie swoje. Ztąd najpierwszą potrzebą zwierząt są narzędzia ruchu. Dwa te gatunki sądu są powszechne u wszystkich zwierząt. Zwierzęta nietylko mają zmysły jak ludzie, ale są oraz obdarzone zmysłem duszy, ku tworzeniu wyobrażeń. Mają wyobrażenia miejsca i czasu; pierwsze pokazuje się w wysokim stopniu u ptaków wędrownych, u koni, psów i kóz, które doskonale pamiętają drogi. Wyobrażenie czasu powstaje u zwierząt, przez dzielenie czasu swego na czuwanie i spanie. Węże tańczą podług taktu, a ptaki w takt śpiewają. Najdokładniej zna się na czasie pies. Podobnie jak człowiek rozróżniają zwierzęta kolory i tony. Młode radują się widocznie jasną barwą, czerwonego koloru nie cierpią kury indyjskie ani byki. Pszczoły odzwaniają pszczolnicy podczas roju, na karpie także dzwonią, a ptaki po organkach tańczyć się uczą.

Mowa zwierząt nie jest mową pojęć, ale mową uczuć i tę mowę rozumieją one pomiędzy sobą. Tak kura wciąż gada do kurcząt które wodzi, a kurczęta ruchami swemi okazują, że mowę tę rozumieją. Kogut jak sułtan w seraju gdacze z kokoszami. Bociany długie prowadzą między sobą rozmowy; najgadatliwsze zaś są sroki. Ze zwierząt ssących najrozmaiciej wyrabiają głos koty i mają całą skalę tonów i pomruków. Psy mniej mają rozmaitości głosu, ale zato obce głosy bardziej rozumieją. Najlepszym dowodem uczuciowej mowy zwierząt, jest ich uwaga, z jaką się mowie ludzkiej lub głosom zwierzęcym przysłuchują.

Zwierzę żyje, czuje i gada, a myśli i uczucia swoje poruszeniami ciała okazuje. Dusza zwierzęca, jak u ludzi, piętno swoje na zewnątrz ciała uwydatnia. Jedne wyglądają głupio, — inne rozumniej. W spojrzeniu żmii obłuda wygląda, w jaszczurce —dobroć przyrodzona; jaka różnica postawy np. koguta i kury. Że wielbłąd cierpliwy, owca ograniczona, koń odważny, lis chytry, kot obłudny, cielę głupie i t. p. na ich fizyognomiach, dopatrzéć to można. Zwierz zmienia także swoją fizyognomią stosownie do tego, czy jest o nim dobre lub złe staranie, czy dobrze się lub źle z nim obchodzą.

Zwierzęta mają pamięć, bo tylko przez pamięć dadzą się oswoić i wyuczyć. Koń wraca do rodzinnego miejsca, jeżeli w niem miał troskliwą opiekę. Cztery konie ugoszczone smacznym posiłkiem, w rok później, przechodząc około drogi zboczyły na nią same z własnej woli, choć ta zupełnie w innym szła kierunku. Krowa ukradziona przyprowadzona na podwórze i puszczona wolno, odrazu poszła do obórki na uboczu stojącej i stanęła przy żłobie w tem miejscu w którem stawała.

Psy, koty, konie, ptaki i owce nawet kury, kaczki i gęsi, wyuczają się nazwisk im nadanych i nawoływane do ręki przychodzą. Przyjęte przez gosposie wiejskie sposoby nawoływania drobiu i trzody chlewnej, na głos których wszystko gdaczące, kwaczące i kwiczące pędzi na złamanie karku, jest tylko wynikiem pamięci i rozwagi zwierzęcej.

Przy dystylarniach cukru pod Paryżem, na miliony pszczół cisnących się do zakładu i kąsających robotników porobiono samołówki, które z początku dziennie po parę kwart chwytały tego pożytecznego owadu. Niebawem poznały zasadzkę i samołówki stały się bezużytecznemi; mały owad wykrył podstęp człowieka. W jeziorze pod Zurychem ryby rojami przybiegały do rzucanych im kawałków sera, gdy przy nich później znalazła się zdradziecka wędka, wszystkie rozpierzchły się i uciekały z widocznym przestrachem.

Czyż to wszystko nie jest dowodem sądu, wyrobienia przez to pewnego zdania i zapamiętania go?

Podobnych wypadków możnaby tysiące przytoczyć, ale i to co powiedzieliśmy powinno dostatecznie przekonać, że zwierzęta i zastanawiają się i pamiętają.

Gdzie jest pamięć tam musi być i wyobraźnia. Zwierzęta mają sny jak ludzie, a więc mają i wyobraźnię. Między ptakami bocian i kanarek, a między zwierzętami pies i słoń mają sny bardzo żywe.

Wyższą władzą duszy jest układanie z wrażeń wniosków i pojęcia. Ilekroć zwierz idzie za popędem żądz i uczuć swoich i chce im dogodzić, musi robić wnioski. Są nawet ślady odrębnego od fizycznych wrażeń wnioskowania. Naprzykład są trzy drogi, na które pies natrafia szukając tropu pana swego lub zwierza; jeżeli węchem na pierwszych dwóch drogach tropu nie znajdzie, trzeciej drogi już nie wącha lecz bieży na pewno. Pudel biegnący za jadącym swym panem aby nie został przez inne psy napadnięty, popędzi drogą dalszą, uboczną, albo skryje się pod powóz między kołami.

Lis kiedy czai się na zdobycz, wilk kiedy trzodę napada, wiele pokazują przebiegłości, a zatem sądu przez pewne wnioski. Że nie instynkt ale sąd prowadzi zwierzęta w działaniach, najlepiej dowodzi to, że się często mylą. Pszczoła nieraz do cudzego ula wlatuje. Bocian goni za cieniem niby za żabą, i dziobem w cień uderza. Strachem straszą ptactwo. Malowane winogrona wabią ptactwo, a małpy wygryzały z książek malowane chrząszcze.

Odwołujemy się w końcu do obowiązków, jakie człowiek mieć powinien względem zwierząt, czuciem i duszą obdarzonych. I zapewne kto pomni ową sukę szczenną, którą anatomowie żywo rozpłatali i młode z niej dobyli, a ona nie zważając na ból okropny płód swój z macierzyńską oblizywała miłością, ten wzdrygnąć się musi nad okrucieństwem, którego dopuszcza się częstokroć człowiek nielitościwie i bezkarnie. Zobojętnienie na krew, męki i śmierć zwierząt nie podniesie szlachetnych uczuć w człowieku, ale je raczej stępi i poniży. Dlatego pożądane są nietylko ustawy krajowe, któreby zaradzały złemu, ale i uszlachetniały poglądy samego społeczeństwa.

Krótkie sprawozdanie

z dwunastoletniej działalności i z obecnego stanu Muzeum techniczno-przemysłowego krakowskiego i zakładów przy nim istniejących.

Początkiem Muzeum Techniczno-Przemysłowego Krakowskiego było 5,000 okazów zebranych stara-

niem, a w części i kosztem Adryana Baranieckiego, dyrektora Muzeum w podróżach za granicą i na wystawie paryzkiej 1867 r., a które złożył w darze stołecznemu miastu Krakowowi, z warunkiem, że miasto będzie się zbiorami opiekowało, i takowe utrzymywało. Gdy dar i warunki zostały przyjęte, ofiarodawca zajął się uorganizowaniem zbiorów, wspólnie z profesorem byłego instytutu technicznego i obecnym Radzcą miejskim Władysławem Rozwadowskim. Jednocześnie ofiarodawca otworzył przy Muzeum wyższe kursa naukowe dla kobiet, wykłady niedzielne popularne dla rzemieślników i szerszej publiczności, a w parę lat później sale rysunkowe i codzienne kursa handlowe dla mężczyzn. Po *dwunastu* latach istnienia, obecny stan Zakładu jest następujący:

Muzeum liczy do 30,000 okazów tak surowych materyałów jako też wyrobów we wszystkich gałęziach przemysłu fabrycznego, domowego i rolnego i zastosowania sztuk pięknych do przemysłu i rzemiosł, powstałych przeważnie z darów osób z różnych dzielnic Polski, a w znacznie mniejszej części z zakupna. Narzędzi, przyrządów i modeli technicznych i pszemysłowych, przyrządów fizycznych i t. p. Muzeum posiada do 180 sztuk.

Biblioteka muzealna liczy 3,500 dzieł i broszur, 170 map i planów i do 1,400 rycin i fotografii. Oprócz tego wyższy zakład naukowy dla kobiet posiada *oddzielną bibliotekę* z 2,000 dzieł złożoną.

Sala rysunkowa liczy 980 odlewów gipsowych, do 1.200 sztuk pierwszorzędnych wzorów rysunkowych, znakomite wydawnictwo akwareli Hildebrandta z jego podróży na około ziemi, piękny manekin szkielet i figury anatomiczne z ostatniej paryzkiej wystawy, a także dostateczną ilość potrzebnych sprzętów i przyrządów.

Zbiór zoologiczny liczy 327 okazów zwierząt ssących i ptaków wypchanych, pochodzących z daru po ś. p. d-rze Oszackim, do 400 okazów niższych zwierząt; 34 szkieletów i preparatów do porównawczej anatomii; 72 sztucznych modeli kwiatów, zielniki, znaczną liczbę tablic ręcznie wykonanych do profesorskich wykładów dla szerszej publiczności, nakoniec zbiór pism i alfabetów całego świata, z tekstem polskim, wykonanych bardzo starannie na miejscu w Krakowie, do wykładów profesora Estrejchera i mających do dwóchset metrów kwadratowych powierzchni, jedyny zbiór dziś istniejący do publicznych wykładów na tak wielką skalę i podziwiany przez cudzoziemców. Oprócz tego Muzeum posiada:

Laboratorium chemiczne i *Odlewnię gipsów*. Nadto przy Muzeum istnieje:

1-o Wyższy Zakład naukowy dla kobiet z pięciu wydziałami. Wykłady prowadzone są na stopę akademicką z zastosowaniem do obecnych potrzeb naszych kobiet, a mianowicie:

I. Wydział nauk przyrodniczych.
II. „ historyczno literacki.
III. „ sztuk pięknych.
IV. „ handlowy.
V. „ gospodarczy.

Z tych trzy pierwsze są w zupełnym rozwoju. Wydział zaś handlowy dla braku funduszów i miejsca nie mógł być otwartym:—wydział gospodarczy dla tychże samych powodów ograniczać się musi jedynie tylko na wykładach gospodarstwa domowego kobiecego, poprzedzonego zarysem gospodarstwa wiejskiego w ogólności.

Na wydziale sztuk pięknych oprócz odpowiednich wykładów jest oddział olejnego malarstwa z żywej i martwej natury, trzy oddziały rysunku wolnoręcznego z gipsów i ze wzorów, jeden krajobrazów, dwa rysunku geometrycznego i zastosowania tegoż do przemysłu i ornamentyki i oddział drzeworytnictwa. Oprócz tego w bieżącym roku otwiera się oddział kompozycyjnego malarstwa.

W ostatnich latach uczęszczało rocznie w przeciągu 130—140 uczenic. Do zakładu przyjmują się na wykłady panie mające 16 lat skończonych, na oddziały zaś rysunkowe i młodsze panienki. Wszystkich słuchaczek wpisanych przez lat 12 było do 900 osób—wykładających i nauczających w ostatnim 1879/80 roku szkolnym było 25 z tych 12 profesorów i docentów uniwersytetu, 10 profesorów z innych zakładów naukowych, i prywatnych osób i trzy nauczycielki (wychowanki muzealne). Egzamina wprowadzone są jedynie dla tych pań, które życzą sobie mieć świadectwa z uczynionych w zakładzie postępów.

Opłata za wykłady wynosi za jeden wydział po 13 złr. na kwartał, (mniej więcej za 120 prelekcyi). Na oddziałach rysunkowych od 5—20 złr. kwartalnie. stosownie do oddziału na jaki jest zapisana uczenica. W ogóle płatnych uczenic jest około 85—90. Jedyną subwencyą jaką Zakład otrzymał za cały czas swego istnienia, jest 400 złr. od Wysokiego Ministeryum handlu po wystawie Wiedeńskiej na potrzebne dzieła i środki pomocnicze naukowe.

2-o Wyższy Zakład nauk handlowych dla mężczyzn istniał przy Muzeum od r. 1870 — 1877 ale gdy w obec rozwijającego się coraz więcej zakładu dla kobiet, wzrastały coraz więcej koszta utrzymywania tegoż, a pomocy znikąd nie było, zakład w 1877 r. został zwinięty.

3-o Wykłady popularne bezpłatne dla szerszej publiczności w niedziele i święta, odbywały się w Muzeum przemysłowem od chwili założenia takowego do 1876 r., w którym to czasie z powodu powiększenia ilości obowiązkowych szkół dziennych i wieczornych, a w części i niedzielnych, ilość uczęszczających na niedzielne wykłady muzealne znacznie się zmniejszyła, zostały więc takowe chwilowo zawieszone do przyszłej reorganizacyi samego Muzeum i zdobycia obszerniejszego i dogodniejszego pomieszczenia. Do działalności Muzeum techniczno-przemysłowego krakowskiego, zaliczyć także wypada Wydawnictwa muzealne, a temi są:

1-o *Album ozdób z kaplicy Zygmuntowskiej* ozdobne wydanie z objaśniającym tekstem polskim, francuzkim i niemieckim. Kraków 1878 in folio.

2-o *Bartolomeo Berecci*, Architekt kaplicy Zygmuntowskiej, skreślił prof. Wład. Łuszczkiewicz. Kraków 1889 in 8-o.

3-o *Ozdoby budownicze z Cerkwi w Kurtea d'Argyisch na Wołoszczyźnie* jako wzory do nauk rysunku cyrklowego in 4-o z tekstem polskim, francuzkim, niemieckim i angielskim. Tablice są już zupełnie gotowe, a tekst w końcu września wyjdzie z pod prasy. Oprócz tego do trzech innych wydawnictw przygotowane są tablice do druku i oczekują tylko nakładcy.

Nakoniec w zakres działności tejże instytucyi, należy dodać wystawy, które odbyły się różnemi czasami w salach muzealnych z czynnym współudziałem Zarządu, lub też całkowicie przez Zarząd urządzone, jako to: Wystawa lekarsko-przyrodnicza w czasie pierwszego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie w 1869 r., Wystawa chińsko-japońska w 1872 r., Wystawa pism i alfabetów całego świata w 1873 r., Wyrobów włościańskich polskich w 1879 r., i nakoniec Wystawa przemysłowa urządzona w 1870 r. w Krakowie przez Stowarzyszenie rękodzielnicze „Postęp,“ na które Zarząd muzealny nietylko oddał swe sale, lecz i czynnie popierał urządzający komitet skromnemi środkami, jakie naówczas były w jego rozporządzeniu.

Oto jest w streszczeniu działalność Muzeum techniczno przemysłowego w ciągu 12-tu lat i statystyczne dane tyczące się zakładów naukowych przy Muzeum istniejących.

Z kraju i z zagranicy.

Pierwsza turecka wystawa sztuki. Wedle surowych przepisów Koranu, turkom najostrzej wzbronionem jest odtwarzanie i przedstawianie w jakiejkolwiek formie żyjących istot...

Meczety muzułmańskie puste mają ściany, a prawowierny turek nie pozwala się dziś jeszcze za żadną cenę fotografować.

Przed pięćdziesięciu jeszcze laty nie odważyłby się turecki malarz albo rzeźbiarz otworzyć pracownię w dzielnicy muzułmańskiej; wzburzone tłumy zniszczyłyby jego prace, a sędzia (kadi) zamknąłby go za znieważenie religii na kilka miesięcy do więzienia.

Szerzący się coraz widoczniej wpływ europejski w ostatnich dziesiątkach lat w Konstantynopolu dokonał olbrzymiego zwrotu w tych pojęciach, a budzące się stopniowe zajęcie dla artystycznych usiłowań sprawiło, iż w toku ostatnich lat niejednokrotnie powstawała myśl urządzenia w stolicy islamu wystawy obrazów rodzimego pendzla artystów tureckich,— myśl, która w ostatnich dniach doczekała się wcielenia.

Jak to wygląda?

W czarującem miasteczku wil nad Bosforem, w Terapii, w letniej rezydencyi angielskiej i francuzkiej ambasady, obrócono lokal greckiej szkoły dziewcząt na wystawę dzieł sztuki.

Żyjący w Konstantynopolu artyści bez różnicy wiary i narodowości, nadesłali swoje pracea liczni goście ze wszystkich kół towarzystwa stambulskiego przepełniają codziennie salony wystawy, wyrażając zadowolenie i podziw z tego pierwszego debiutu Turcyi na polu sztuki.

Dwaj muzułmanie dostarczyli dzieł pendzla.

Z tych wymienić należy naprzód księżniczkę Nasli Hanum, która przedstawiła sporą liczbę olejnych kwiatów.

Krytyka nader życzliwie ocenia te obrazy.

Bardziej wszakże zajmującą od dzieł pendzla jest sama osoba księżniczki...

Nasli Hanum jest córką wykształconego i szczodrego może nad miarę Mustafy Fazyla baszy, brata ex-kedywa egipskiego.

Odebrała ona wychowanie zupełnie europejskie, mówi i pisze po turecku, arabsku, persku, francuzku, włosku i angielsku, gra na fortepianie, rysuje i maluje.

W piętnastym roku życia poślubiła osławionego Khalila Szeryfa beja, który podówczas był podsekretarzem w ministerstwie spraw zagranicznych, a później, jako ambasador turecki w Paryżu, zmarnotrawił olbrzymi majątek w najwyuzdańszych orgiach.

U boku tego niegodnego człowieka nieszczęśliwa księżniczka pełne cierpień pędziła życie.

W r. 1878 umarł Khalil Szeryf na rozmiękczenie mózgu, księżniczka uczuła się wolną i odtąd żyje oddana wyłącznie swoim artystycznym i umiejętnym skłonnościom.

Pojawiając się publicznie, nosi Nasli Hanum zasłonę i płaszcz mahometańskich kobiet, w domu wszakże jest zupełną europejką i używa najwytworniejszych toalet paryzkich.

Liczy lat dwadzieścia trzy lub cztery i ma być olśniewającą pięknością...

Wielce przez krytykę wysławiony obraz: „Bawiące się muzyką kobiety w haremie“ pochodzi także z palety mahometanina, syna byłego wielkiego wezyra Edhema baszy, Hamdy beja.

Hamdy liczy dzisiaj lat około czterdziestu wychowany w Paryżu, z powierzchowności, zapatrywań i usposobień, więcej zdaje się być francuzem niż turkiem.

Żona jego jest również paryżanką, dzieci odbierają wychowanie zupełnie *alla franca*.

Obecnie poświęca się wyłącznie sztuce; obraz, wystawiony przezeń tej wiosny, wyobrażający „turbeh“ (grobowiec) sułtana Mahmuda, został nabyty przez Abdul-Hamida.

Jakkolwiek liczba wystawionych przedmiotów nie jest wielką, jakkolwiek obrazy świadczą raczej o chlubnych usiłowaniach niżeli o istotnem artystycznem udoskonaleniu, to przecież okoliczność, że w stolicy islamu wystawę obrazów urządzić było można, jako dowód wnikania pojęć europejskich w łono cywilizacyi tureckiej, zasługuje na uznanie Europy.

W Nowym-Jorku jest obecnie na wystawie obraz Chełmońskiego: „Polowanie na wilka.“ W pismach amerykańskich utwór ten bardzo jest chwalony, a „New-York Herald“ tak o nim mówi:

„Ten doskonały malarz polski znowu nam przysyła arcydzieło: „Polowanie na wilka.“ Myśliwy pędzi na cudnym białym biegunie, koń unosi się w powietrzu, przeskakując potok leniwie między trzciną płynący. Co za życie w tym obrazie; mianowicie w rozognionej twarzy jeźdźca, pochylonego na siodle i trzymającego długi harap! Rysunek i koloryt są nienaganne, jak zawsze u Chełmońskiego, z wyjątkiem kontrastu, jaki wywołuje biała z żółtawym odcieniem barwa na krzyżu i ogonie konia z biało błękitnawym kolorem innych części ciała.“

Z Ameryki piszą: Rodacy nasi w Ameryce starają się usilnie, aby do naczelnego zarządu poczty Stanów-Zjednoczonych; powołany także został Polak, i w tym celu została ułożona petycya w dość ostrym tonie do naczelnego zarządu pocztowego. Petycyę tę podpisują skwapliwie prezesi i sekretarze wszystkich istniejących towarzystw polskich na całej przestrzeni kraju. Dotąd zgłosiło się około stu towarzystw, a gdy jeszcze różne inne to zrobią wszystkie podpisane kopie p. Sygurdowi Wiśniowskiemu będą zwrócone, gdyż i on jest w komitecie, który ma zawieźć petycyę do Waszyngtonu, — będzie to cenny materyał statystyczny. Dowiemy się z niego wreszcie, ile w Ameryce kolonii polskich znajduje się rzeczywiście, ile istnieje towarzystw, oraz ilu członków każde towarzystko liczy.

Wojska Europy.

Najmniejszą armię stałą w Europie ma Czarnogóra, tuż za nią postępuje armia luksemburska, której siła zbrojna wynosi 513 ludzi.

Serbia liczy żonierzy 4,222, Rumunia 11,613 Norwegja 12,750—o niewiele co więcej od Grecyi, która posiada 12,000 ludzi.

Dania 18,106, Holandya 32,000, Portugalia 35,000 Szwecya tyleż co Belgia 45,000 Hiszpania 100,000, Turcya 150,000, Włochy 220,000, Austro-Węgry 292,000, Niemcy 448,000, Francya 496,000, Rossya 575,000.

Wszystkie te liczby składają się na olbrzymią sumę 2,467,444 żołnierzy utrzymywanych w czasie pokoju w Europie.

Koszt tego utrzymania wynosi 900 miljonów rubli. Jeżelibyśmy przyjęli, że jeden żołnierz zarobi dziennie tylko 60 kopiejek, to wyżej wspomniane państwa takim sposobem tracą corocznie 1 miljard, 920 miljonów rubli.

Gałganiarki. Pani M Ratyńska opowiada w redagowanych przez siebie „Now. Mod. Par.“, że w Wilnie, oczywiście z natchnienia osób starszych, kółko małych dziewczynek, przezwawszy się „gałganiarkami,“ wzięło się gorliwie do zbierania różnych skrawków, w celu zużytkowania na cel dobroczynny. Mała „gałganiarka“ zawiesza na ścianie szary płócienny worek i wkłada w niego z całego dnia uzbierane gałganki. Sługi również obowiązane są nic na marne nie wyrzucać, ale w worek ten wszystkie odpadki składać. Gdy się napełni, większe gałganki odkładają się osobno, z których dziewczątka szyją dla biednych ubrania; kawałki świec oddają się do przetopienia, jak również odłamki laku; papier i bibuła idzie w osobne skrzynki na skład główny; wreszcie drobne nic nieznaczące skrawki również osobno się zachowują. Około Nowego Roku matki zajmują się sprzedażą tego towaru, a pieniądze ztąd otrzymane oddają do rąk. które na to zarobiły. Naówczas skrzętne „gałganiarki“ dokupują potrzebnych dodatków do większych odłożonych dla biednych gałganków, i powstają z tego koszulki, sukienki, fartuszki dla dziatwy ubogiej, która to wszystko z rąk „gałganiarek“ odbiera. Rzecz pięknapod względem moralnym, korzystna pod pedagogicznym, zgoła godna naśladowania.

Polacy w Ameryce. W „Gazecie Polsko-Katolickiej,“ wychodzącej w Chicago, czytamy, że w kolonii polskiej, nazwanej Panna Marya, tak się lud polski pomnożył, iż uznano za konieczne kolonię to podzielić na dwię parafie, czego też za staraniem ks. Józefa Burzyńskiego dokonano. Oddzieloną część kolonii przyjęła nazwę Częstochowy, i posiada piękny kocioł pod wezwaniem Matki Bozkiej Częstochowskiej. Za staraniem apostołującego tam ks. Wojciecha Pelczara, administrator dyecezyi wydał dekret, rozgraniczający dwie parafie i zatwierdzający parafię Częstochowską jako odrębną i niezależną.

Ludność kuli ziemskiej od dwóch lat powiększyła się o 17 milionów. W „Recueil statistique“ Behma i Wagnera, niedawno wydanym, obliczają ludność kuli ziemskiej na 1,458,923,500 która się tak dzieli: Europa 315,929,000 mieszkańców, Azya 834,707,000, Afryka 205,679,000, Ameryka 95,495,500, Oceania 7,031,000, kraje podbiegunowe 82,000.

Komisya melioracyj rolnych wydelegowana z władz Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, przygotowała projekt który będzie przedmiotem obrad i decyzyi najbliższego zebrania ogólnego tychże władz Towarzystwa. Projekt ten obejmuje drenowanie, nawodnianie łąk, kanały osuszające większe przestrzenie, karczowanie gruntów poleśnych, zadrzewianie gruntów do uprawy rolnej nieprzydatnych, nakoniec wznoszenie budowli na gruntach odległych dotąd niezabudowanych, przeważnie zaś na gruntach z regulacyi zamiennych powstałych. Pożyczki na cele wymienionych melioracyj wydawać się mają w obligacyach, których pierwsza emisya dosięgać może 3,000,000 rubli. Każde dobra stowarzyszone mogą otrzymać pożyczkę melioracyjną, która z pożyczką zwyczajną Towarzystwa nie może przenosić $^{3}/_{6}$ szacunku, przy taksie dóbr ustanowionego. Pożyczka melioracyjna zabezpieczona być może tylko bezpośrednio po dotychczasowej pożyczce Towarzystwa; ztąd wypływa, że dobra obciążone wierzytelnościami prywatnemi, muszą wyjednać ustąpienie stópnia hypotecznego dla pożyczki melioracyjnej. Projekt danej melioracyi powinien być złożony z komissyi technicznej przy władzach Towarzystwa utworzyć się mającej; po przejrzeniu i zatwierdzeniu go, Towarzystwo Kredytowe wydaje promessę wypłaty sumy, anszlagiem melioracyjnym wykazanej. Po dokonaniu najdalej w ciągu lat trzech melioracyi, Towarzystwo odnośną kwotę wypłaca. Obligacye melioracyjne przynosić mają $3^{3}/_{4}$ % półrocznie; na fundusz zapasowy i koszta administracyi biorący pożyczkę $^{1}/_{2}$ % półrocznie opłacać winien; kapitał zaś najdalej w ciągu lat 15 w półrocznych ratach zwrotowi ulegać będzie,

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie spacerowe. Vetement paletotowe z cienkiej chustki, z podszewką, wypustkami, kołnierzem i wykładami z atłasu. Spódnica z czarnej faille garnirowana plisowaniem. Kapelusz pluszowy zdobny cieniowanem piórem i atłasem tego koloru co vêtement. Parasolik czarny atłasowy na blado żółtawej podszewce garnirowan szeroką żółtawą koronką.

Ubranie strojne wizytowe. Suknia z długim stanikiem i suto przybraną spódnicą jest z jasnego kaszmiru; plisowania i sute riusze są z materyi faille. Na szyi złoty krzyż na aksamitce; we włosach róże i złoty grzebień.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 30 Сентября 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

ZE WSPOMNIEŃ SIEROTY.

PRZEZ

T. MARYAT.

(przekład z angielskiego.)

(Dalszy ciąg).

— Przyszłyśmy tu dziś raz pierwszy ale nie ostatni, mówiła, gdy wkładając kapturki z żalem zabierałyśmy się do powrotu. Pan Moore i ja chętnie przyklasnęłyśmy temu wyrokowi, a ja nawet zachęcałam aby przychodzić codziennie, tak byłam upojona powodzeniem.

Bez żadnego wypadku doszłyśmy do domu: ulice były prawie puste, bo wszyscy prawie mieszkańcy bawili jeszcze w ogrodzie. Dochodząc do gmachu poklasztornego w którym mieściła się nasza pensya, zauważyłyśmy że wygląda nader ponuro i surowo, bo w żadnem oknie nie błyszczało światło,, żaden szmer nie rozlegał się w obszernych jego przestrzeniach.

— Otóż dobiłyśmy do portu, rzekła Felicyta gdyśmy stanęły przed kratą, kładąc rękę do kieszeni dla wzięcia klucza. Przemkniemy się cichaczem przez korytarz i schody, i nikt nas nie usłyszy: bo nasze Niemkinie śpią jak zabite. Wtem nagle zamilkła, zbladła i z przerażeniem odwróciła kieszeń.

— Co się stało? zapytał Ernest Moore, wpatrując się w nią czule.

— O nieba! co my poczniemy, zgubiłam klucz! zawołała z rozpaczą.

— O nieba! krzyknęłam, i zaczęłam szukać w jej kieszeniach, nie chcąc uwierzyć w straszną prawdę. Ale, niestety! przekonałyśmy się że klucz korzystał z małej dziurki w kieszeni, i idąc za naszym przykładem poszedł patrzeć co się dzieje na świecie.

— Co tu robić? pytałyśmy jednocześnie, patrząc na siebie przestraszone.

Pan Moore kręcił i pokręcał wąsiki, ale nie przedstawiał nam żadnego środka ratunku.

— Czyby nie można przejść przez mur? rzekłam mierząc tenże wzrokiem.

— Dobraś! przejść przez mur gładki jak szkło i z jakie dwadzieścia stóp wysoki. Obmyśl co mędrszego.

— Jam temu nic nie winna! zawołałam z oburzeniem.

— Nikt tu nic nie winien i nikogo oskarżać nie można, nie sprzyjało nam szczęście i koniec. Ale nie możemy tu stać, bo mogłyby nas spotkać powracające nasze panie. Odejdźmy dalej.

— Wrócę się do ogrodu i poszukam tam gdzieśmy siedzieli, rzekł p. Moore.

Ale Felicyta oznajmiła że się to na nic nie przyda, gdyż zanimby doszedł koncert się skończy i ogród będzie zapewnie zamknięty. Nie było innej rady jak obudzić którąś służącą, przemówić do jej serca i uprosić żeby nas wpuściła i nie wydała. W tym celu zwróciłyśmy się ku bramie, lecz tam, z niewysłowionem przerażeniem, spostrzegłyśmy te właśnie osoby, przed któremi za jaką bądź cenę pragnęłyśmy się ukryć. Ochmistrzyni i nauczycielki nasze wróciły prędzej niż zwykle i mocno dzwoniły do bramy. Nie było więc sposobu powrócić niepostrzeżenie, odezwałam się więc że nie pozostaje nam jak przyznać się do winy przed naszemi przełożonemi, i przyrzec że nigdy już nie dopuścimy się podobnej nieroztropności — ale właśnie w chwili gdy mniemałam że Felicyta posuwa się ku miss Little aby jej prosić o przebaczenie, gwałtem pociągnęła mnie w tył: a jednocześnie ciężkie zawiasy zaskrzypiały, brama się zamknęła.

— Och! Felicyto, zawołałam płacząc, dla czego nie mówiłaś zaraz... teraz już zamknięto bramę, trzeba chyba dzwonić żeby nam otworzono.

— Dzwonić! powtórzyła pogardliwie. Czyż sądzisz że myślę spowiadać się w obec Graub, Netty i całej rzeszy, żeśmy spędziły wieczór w ogrodzie. aby mnie wydalono z pensyi jak to już miało miejsce w Bruxelli? Za nic w świecie, wolałabym śmierć!

— Ale cóż poczniemy, gdzie się podziejemy? pytałam przerażona.

— Usiądziemy tu pod murem, lub jeżli wolisz będziemy aż do świtu przechadzać się po mieście, odrzekła stanowczo. Za cztery godziny dzień zajaśnieje jak tylko wstaną służące w numerze 40-ym zapukamy lekko do drzwi i porozumimy się ze starą kucharką Franusią, która, jestem, pewna, przychyli się do naszego żądania. Chodźmy teraz, nie ma tu czego czekać, i to powiedziawszy zwróciła się w kierunku miasta.

Byłam wtedy roztrzepanem i samowolnem dzieckiem, miałam przecież tyle zastanowienia i rozwagi, iż pojmowałam że Felicyta najgorszy obrała środek.

— Och! panie Moore, przedstaw jej pan że to niedorzecznie; niepodobna przecież żebyśmy całą noc spędziły w mieście! zawołałam po raz pierwszy przemawiając do niego, w obawie aby nie pogorszyć jeszcze i tak już złego naszego położenia.

Zdaje się podzielał moje zdanie, bo miał strasznie zafrasowaną i zaniepokojoną minę.

— Panno d'Alvan... rzekł błagalnie, ale nie dała mu mówić.

— Nie proszę pana bynajmniej abyś mi towarzyszył, rzekła szorstko; potrafimy obejść się bez pana, możesz sobie wracać do Bruxelli. Ani myślę upokarzać się przed miss Little i panią Gobeaux, nie ma więc innej rady jak czekać do rana. To powiedziawszy szła dalej.

Cóż miałam robić? musiałam iść za nią. Wracając na pensyę, zdradziłabym tajemnicę którą dochować przyrzekłam, a do takiej nikczemności nie byłam zdolna, choćby dla uniknięcia najsurowszej kary. Westchnąwszy ciężko spojrzałam na pana Moore, porozumieliśmy się milcząco że nie pozostaje nam jak spełnić wolę panny d'Alvan.

Gmach w którym była nasza pensya, był dość odległy od miasta; czas jakiś szliśmy około ślicznych domków, otoczonych ogrodami; niezadługo jednak minęliśmy przedmieście, znikły drzewa i murawa, droga zaczęła się zwężać, nareszcie weszłyśmy na ulice. Po obu stronach których wznosiły się domy, i niezadługo znalazłyśmy się w samym środku miasta, które tak pragnęłam poznać.

XII.

Dalszy ciąg pamiętnika Teodory.

Zdaje mi się że do końca życia niezapomnę tej naszej nocnej przechadzki po ulicach tego starożytnego i ciekawego miasta, środkowego punktu przemysłowej Belgii. Była północ; tłum wracający z koncertu, rozbiegł się w różnych kierunkach; jedni wrócili do swoich spokojnych siedzib; inni nienasyceni jeszcze zabawą, udali się do tak licznych w Antwerpii kawiarni i cukierni. Tak ożywione i gwarne przed chwilą ulice, były teraz ciche i puste. Tu i owdzie spotykało się zaledwie jakiegoś zapóźnionego przechodnia zdążającego do domu, lub zgłodniałego psa. szukającego strawy w najrozmaitszych pozostałościach i odpadkach. Księżyc wszedł i najczyściejszym przyświecał blaskiem, roztaczając do koła swe srebrzyste światło. Na rogu każdej ulicy była nisza a w niej obraz lub statua Maryi Dziewicy i płonąca przed nią lampka. Wszystkie przedmioty doskonale można było rozróżnić; nie mogła więc lepsza nadarzyć mi się sposobność przypatrzenia się piękności i osobliwościom miasta, które od tak dawna pragnęłam zwiedzić—tylko że za nadto byłam znękana i niespokojna, abym się w nich rozważnie rozpatrywać mogła.

Pan Moore szedł obok Felicyty; widząc że postanowienie jej jest niezłomne i że nie chce w żaden sposób wracać na pensyę przed wschodem słońca, uznał że nie pozostaje mu jak strzedz jej przed możliwemi następstwami jej szalonego wybryku. Szepnął jej coś do ucha. i zaraz podała mu rękę i tak szli obok siebie. Wcale a wcale nie troszczyli się o mnie; szłam sama za nimi, a tak potrzebowałam żeby mnie ktoś uspokajał od czasu do czasu, bo echo własnych kroków rozlegające stę po pustych ulicach przestraszało mnie i niepokoiło.

Przechodziliśmy stare, wązkie i nieregularne ulice; stały przy nich sześcio i siedmio piętrowe domy, ozdobione ślicznemi rzeźbami w drzewie, sięgające jak utrzymują czasów hiszpańskiego panowania we Flandryi. W każdym innym czasie te szacowne zabytki przeszłości wzbudzałyby moje uwielbienie, tak żywo uderzało mnie i zajmowało piękno czy to w sztuce czy w przyrodzie,—ale wtedy nic a nic nie widziałam, łzy zasłaniały mi oczy. Niepodobna mi było podziwiać oryginalność architektury ani coraz nowych przedstawiających się widoków, bo myśl coby powiedział na to kuzyn Ulryk, gdyby dowiedział się że całą noc błąkałam się po ulicach Antwerpii, jedynie niby pod opieką roztrzepanej i nierozważnej Felicyty i jakiegoś zupełnie nieznanego mi gentlemana—dręczyła mnie i niepokoiła niewymownie. Bo czyż podobna aby ta szalona nasza wycieczka się nie wydała, aby mnie nie wydała, aby mnie nie wydalono z pensyi i pierwszym sztemerem nie odesłano do Rockboroug, i abym nie musiała ze wstydem słuchać szyderstw i docinków kuzynki Maryanny i wyrzutów ukochanego mego opiekuna.

Nie tyle jeszcze dbałam i obawiałam się szyderstwa miss Ford, chociaż myśl o tem przejmowała mnie dreszczem, ale samo przypuszczenie że z mojej przyczyny kuzyn Ulryk może tak ciężkie mieć zmartwienie, przywodziła mnie do rozpaczy, Łzy popłynęły mi z oczu, nareszcie zaczęłam głośnym

zanosić się płaczem, aż zniecierpliwiona tak jawnemi oznakami strapienia mego Felicyta, zwróciła się do mnie mówiąc gniewnie: iż jeźli nie przestanę beczyć jak rozmazany dzieciak, pobudzę i zwrócę tem uwagę wszystkich mieszkających przy tej ulicy. Ta uwaga grożąca mi natychmiastowem odkryciem naszej nierozsądnej wycieczki, przygłuszyła moją rozpacz: nie przestałam wprawdzie płakać (nie było to w mej mocy, ale płakałam cicho, chustką przytłumiając łkanie.

W taki sposób obeszłyśmy całe miasto. Gdy już byłyśmy daleko od naszej pensyi, Felicyta odzyskała zwykłą swobodę i wesołość, mówiła nawet że ten całonocny spacer był godnem uwieńczeniem wieczornej naszej wyprawy, że ją bawił niewymownie; i co do niej nie zamieniłaby go za wszystkie w świecie zabawy. Zdaje się że pan Moore innego był zdania, gdyż choć otaczał ją nieustannemi względami i grzecznościami, nie chciał jednak zapuszczać się z nią w szersze i więcej odkryte dzielnice miasta i nasuwał na twarz jej kapturek, ile razy odrzucała go czy to przez zalotność czy dla gorąca.

Nie mogąc przejść na główne ulice miasta, Felicyta zapragnęła zwrócić się na wybrzeże. „Tam będzie chłodniej, mówiła, i znajdziemy deski na których będzie można odpocząć. Z nastaniem dnia, nadjadą fiakry, wsiądziemy do którego i dojedziemy na róg naszej ulicy.“ Ponieważ była to propozycya rozsądniejsza od innych pierwej przez nią podawanych, pan Moore nie wystąpił z oppozycyą; poszli gdzie chciała, a ja biedna podążałam za nimi. Gdy weszliśmy na rozległy plac, nazywający, jak dowiedziałam się później *Plac zielony*, podniósłszy machinalnie oczy, wydałam nagle tak gwałtowny okrzyk zachwycenia, iż pan Moore i Felicyta usłyszawszy zaniepokoili się sądząc że spotkał mnie jakiś wypadek.

— Co ci jest? zapytała moja towarzyszka.

— Nie, nie, odpowiedziałam zachwycona, topiąc wzrok w przestrzeni... Patrz tylko, patrz Felicyto!

— Tam? jest też czego krzyczéć i wpadać w taki zachwyt... To tylko katedra!

— *Tylko katedra!* Nawet w pierwszej chwili podziwu i zachwytu, nie mogłam nie zauważyć z jakiem lekceważeniem Felicyta wyraziła się o takim cudzie piękności; zdawało mi się że choćbym tysiące takich widziała, nie mogłabym pomijać go tak obojętnie. Wysokie domy zasłaniały nam podstawę tego kolosalnego gmachu, ale gotycka jego wieżyca wznosiła się po nad nie majestatycznie; i zdawała sięgać pod obłoki, a czyste światło księżyca przedzierające się przez delikatną sieć kamiennych zdobiących ją koronek, uwydatniało ich cudowną piękność. Nigdy nie widziałam nic tak wspaniałe pięknego, i ani przypuszczałam żeby architektura mogła dosięgnąć takiego szczytu doskonałości. W tej chwili zapomniałam o wszystkiem co dopiero tak mnie dręczyło, zapomniałam gdzie i z kim jestem, tak oczarował mnie widok tej wspaniałej świątyni.

— No, chodźże, już niedaleko na wybrzeże, rzekła zniecierpliwiona trochę Felicyta, pociągając mnie za rękę.

— Och! daj mi pokój! wyszeptałam rozmarzona; idźcie i zostawcie mnie tu, nigdy w życiu nie widziałam nic równie pięknego.

— Widać ta panienka musi być artystką, przemówił ktoś obok mnie; tylko artystyczna dusza może tak przejąć się i ocenić cud piękności jaki mamy przed oczami.

Zadrżałam i odwróciłam się z żywością, zaniepokojona tem że zwróciłam na siebie uwagę i rozgniewana że mi to dano do zrozumienia, takiegoż samego wrażenia doznał pan Moore, i zamierzał już wyrazić ostro swoje niezadowolenie zuchwalcowi który ośmielił się przemówić do mnie, kiedy zwróciwszy się ku niemu, poznał że to jeden z jego znajomych; uspokoił się natychmiast, a na twarzy jego ukazał się wyraz przyjemnego zadziwienia.

— Co ja widzę! zawołał, pan Dawid tu! Nie spodziewałem się spotkać tu pana.

— Przybyłem tylko na kilka dni, odpowiedział nieznajomy, aby odrysować przy świetle księżyca ten piękny gmach który tak zachwycił panią (mówiąc to zwrócił się ku mnie pochylając głowę, i pokazując tekę z rysunkami.

W czasie tej rozmowy nasunęłyśmy jeszcze bardziej na twarz nasze kapturki, i odsunęłyśmy się trochę na bok tuląc się do siebie, serca nasze biły prędko i silnie, i ze drżeniem zadawałyśmy sobie pytanie, o ile to jeszcze pogorszy nasze położenie. Nie oddaliłyśmy się jednak o tyle abyśmy nie miały słyszéć i widzieć tych panów, dla tego też kiedy nieznajomy zwrócił się ku mnie z ukłonem, nie mogłam przezwyciężyć ciekawości i spojrzałam na niego Nie można było nazwać go młodym, a przynajmniej wydawał mi się starszym od kuzyna Ulryka, ale miał piękne czarne oczy, i brodę spadającą mu aż na piersi, okrągła czapeczka i bluza tworzyły ubranie malownicze, w którem wydawał się bardzo korzystnie. To zapewnie było powodem że pomimo obawy aby się nie dowiedział kto jestem, obecność jego nie była dla mnie przykrą.

— Czy pan był na koncercie w Ogrodzie zoologicznym? zapytał Ernest Moore, aby coś powiedzieć.

— Tak, lecz mam tak mało wolnego czasu że zabawiłem tam zaledwie chwilkę. Pan przybyłeś zapewnie z Bruxelli jedynie dla usłyszenia tak pięknej muzyki; ale czy to pan Servan pozwala swym uczniom powracać do domu o której zechcą porze?

To pytanie w którem nieznajomy objawił swoje zadziwienie z powodu naszej obecności na *Zielonym placu*, przeraziło mnie i Felicyę; a pana Moore zmieszało widocznie.

— Tak... to jest... nie... czyli raczej poprzestaje na wskazaniu powodów opóźnienia, a dziś, wypadek nieprzewidziany... zechciej poczekać na mnie chwilkę, panie Dawid, dodał, i zbliżył się do nas śpiesznie.

— Pozwólcie panie, rzekł, abym mu powiedział prawdę; jest on naszym nauczycielem rysunków w Bruxelli, człowiekiem dobrze wychowanym, i najlepszym w świecie chłopcem, nic nie zdołałoby go zmusić do zdradzenia naszej tajemnicy.

— Sądzę że nie ma najmniejszej potrzeby przypuszczać go do niej, powiedziała Felicyta która umiała być przezorną i ostrożną, jeżeli się obawiała aby nie odkryto tego co ukryć chciała. Nic nam nie może pomódz, więc nie potrzebuje wiedzić kto jesteśmy.

— Nie wiedząc o co idzie może się z czem wymówić pomimowolnie, i zaszkodzić nam tem bardzo. Wierz mi że lepiej mu zaufać, skoro już przypadek postawił go na naszej drodze.

— Ale czy jesteś pewnym że nas nie zdradzi? zapytała ciszej.

— Ufam mu tak jak samemu sobie.

— A więc czyń co ci się podoba, rzekła takim tonem jakby ją to nic nie obchodziło; bo prawdę mówiąc, nie możemy nawet postąpić inaczej.

Ja w ciągu tej rozmowy nie wyrzekłam ani jednego słówka, ponieważ nie pomyślano nawet o tem aby się zapytać o moje zdanie, a z drugiej strony byłam przekonana że położenie nasze było już tak opłakane że nic go pogorszyć nie mogło. Pan Moore powrócił do nieznajomego który trzymając album w ręku rysował, spoglądając od czasu do czasu na wysmukłą wieżę katedry. Zaczęli rozmawiać z sobą cicho ale z żywością, a następnie pan Dawid zamknął album, zbliżył się do nas, i rzekł kłaniając się grzecznie.

— Dowiedziałem się z prawdziwą przykrością że panie znajdują się w tak niemiłem położeniu, i żałuję że nie znam tu jakiej zacnej i poważnej damy, której opiece mógłbym je powierzyć, ale...

— O! nie; nie, nie! zawołała z żywością Felicya. Znajdujemy się rzeczywiście w przykrem położeniu ale pan wie że są przykrości z któremi najlepiej nie zwierzać się nikomu. Niech pan nie troszczy się o nas, potrafimy wywikłać się z tego szczęśliwie.

— Zrozumiałem słowa pani, odpowiedział z uśmiechem, i mogę zaręczyć że nie zdradzę zaufania. Teraz będę się starał być użytecznym paniom o ile to będzie w mej mocy; sądzę że panie muszą być bardzo zmęczone.

Przypuszczenie to było aż nazbyt prawdziwe, chodziłyśmy bez odpoczynku całe trzy godziny, to też ja upadałam prawie ze znużenia, a wesołość i ożywienie Felicyty spadły niżej zera,—więc skoro tylko pan Dawid zapytał się czy nie życzymy sobie aby nas zaprowadził do jakiej ławki, na której moglibyśmy odpocząć trochę, zgodziłyśmy się na to bardzo chętnie, i poszłyśmy za nim nie pytając nawet gdzie nas prowadzi.

Plac zielony jest to obszerny skwer otoczony ze wszystkich stron domami; na środku jego rosną piękne drzewa ocieniające targ kwiatowy. Tam właśnie zaprowadził nas pan Dawid, a kiedy doszłyśmy do znajdujących się tam ławek, rozciągnął na jednej z nich swój pled aby nam wygodniej było siedzić. Felicyta odzyskała wkrótce wesołość i swobodę umysłu, którą jej na chwilę odebrało znużenie i obawa aby nie doniesiono przełożonej pensyi o naszej wycieczce, i tak spokojnie i poufale rozmawiała z panem Dawid i Ernestem Moore (którzy usiedli na najbliższej od nas ławce) jak gdyby to byli jej dawni i dobrzy znajomi. Co do mnie nie mogłam pójść za jej przykładem jak tylko usiadłam znużenie silniej mi się jeszcze czuć dawało, i zaledwie upłynęło kilka minut, głowa moja spoczęła na poręczy ławki, miss Little, kuzyn Ulryk, pan Dawid, wszelkie obawy dręczące mnie przed chwilą, słowem wszystko przestało istniéć dla mnie, bo zasnęłam głęboko.

Musiałam spać najmniej dwie godziny, gdyż było już zupełnie widno kiedy się przebudziłam i usłyszałam że mówią o mnie.

— Fleming! Teodora Fleming! Ależ to nazwisko dobrze mi jest znane! zawołał pan Dawid.

— Mówiliśmy właśnie o tobie, moja miła, odezwała się Felicyta spostrzegłszy że otwieram oczy.

Podniosłam się prędko otrząsając się ze snu, i zobaczyłam że przyjaciółka moja zamierzała odejść; wtenczas także dostrzegłam że w czasie snu kapturek mój zsunął mi się z głowy na ramiona.

— Pani pozwoli? rzekł pan Dawid wkładając mi go na głowę, mam nadzieję że sen pod gołem niebem nie wpłynie szkodliwie na zdrowie pani, sądzę jednak że mama pani nie uznałaby tego za właściwe.

— Ja nie mam już matki, odpowiedziałam z żywością, gdyż każde wspomnienie o matce odzywało się boleśnie w mem sercu.

— A! najmocniej panią przepraszam, że wywołałem tak smutne wspomnienie; ale zapewnie przywiązanie ojca wynagradza pani tak ciężką stratę.

— Mie mam także ojca, odpowiedziałam sucho, bo moja krew angielska burzyła się zawsze ilekroć zadawano mi pytanie podyktowane niewłaściwą ciekawością, i byłabym nawet dała uczuć wyraźniej moje niezadowolnienie, gdyby nie to że pan Dawid zdawał się być bardzo tem strapionym że mi sprawił taką przykrość.

— Felicyto, rzekłam zwracając się do przyjaciółki aby przerwać tę rozmowę, zdaje mi się że spałam bardzo długo; zapewnie już czas wracać do domu?

— I wielki czas, moja miła, a nawet przełożona nasza powiedziałaby z pewnością że już zapóźno; ale pan Moore pobiegł aby wyszukać fiakra, i zapewnie sprowadzi go wkrótce.

Ernest Moore przyjechał rzeczywiście, zaledwie powiedziała te słowa, a że pan Dawid nie chciał nas jeszcze opuścić, więc obydwaj ci panowie odwieźli nas do domu. W drodze, Ernest Moore zajmował się wyłącznie Felicytą, gdy przeciwnie pan Dawid rozmawiał tylko ze mną. Prawdopodobnie chciał mi tym sposobem wynagrodzić przykrość jaką mi sprawił swemi zapytaniami, byłam mu też wdzięczną za jego dobre chęci, i odpowiadałam mu uprzejmie, pomimo że nie byłam usposobioną do prowadzenia rozmowy. Zresztą w jego obejściu i uśmiechu było coś prawdziwie pociągającego.

Zobaczyłyśmy nakoniec mury naszego klasztoru, i uznałyśmy że czas wysiąść z powozu. Felicyta pożegnała swego wielbiciela z minką zalotną a zarazem bardzo czułą, podała rękę panu Dawid, jakby dawnemu znajomemu, i wyskoczyła z powozu lekko, z miną osoby nie potrzebującej obawiać się niczego i nie mającej sobie nic do wyrzucenia, gdy ja przeciwnie drżąca na samą myśl o upokorzeniu które nas spotkać może, zmęczona i nie wyspana, zapomniałm nawet pożegnać tych panów. Jednak nawet w tej tak przykrej dla mnie chwili, uderzyło mnie pełne współczucia spojrzenie, które rzucił na mnie pan Dawid kiedy wysiadałam z powozu. Wszakże to spojrzenie nie dodało mi odwagi, i cała drżąca zbliżałam się do bramy, podczas gdy nasi towarzysze stali na ulicy czekając dopóki nie wejdziemy do domu. Nasunęło mi się wtenczas na myśl pytanie, na coby mi się zdała ich obecność w razie gdyby mnie zobaczyła miss Little lub pani Gobeaux, i gdyby mi oświadczyły że zostanę wypędzoną z pensyi i odesłaną do kuzyna Ulryka. Wyznaję że sama myśl o tem że mój opiekun będzie się wstydził za mnie, sprawiała mi tak wielką boleść że przy niej były niczem wszelkie inne przykrości jakie mnie spotkać mogły.

Nie rozumiałam jeszcze wtenczas co to jest przebiegłość, nie wiedziałam jakich sposobów potrafi używać moja przyjaciółka aby dojść do zamierzonego celu. Byłam jeszcze bardzo naiwną i nieradną w porównaniu z Felicytą d'Alvan.

Było jeszcze bardzo rano, dla tego też spotkałyśmy tylko kilka wózków z mlekiem lub warzywami ciągnionych przez psy. Służący zabierali się dopiero do roboty, bramę zastałyśmy otwartą, i przez chwilę mogłyśmy mieć nadzieję że nikt nie spostrzeże nas na schodach, lecz nie zasłużyłyśmy na tak szczęśliwy zbieg okoliczności, i kiedy byłyśmy już na ostatnim stopniu schodów, ujrzałyśmy nagle przed sobą tłustą Franusię wytrzepującą w sieni dywaniki. Wiedziałam że Felicyta zamierzała zjednać sobie tę grubą i tłustą flamandkę posiadającą wielką przewagę nad innemi służącemi, ale według moich angielskich wyobrażeń, przekupowanie służących ograniczało się na grzecznych słówkach i szczodrych datkach, zdumiałam się też bardzo kiedy moja serdeczna przyjaciółka przyskoczyła do flamandki i zarzuciwszy ręce na jej szyję, zaczęła pokrywać pocałunkami jej twarz szeroką, i zaklinać ją na wszystkie świętości aby nie powiedziała nikomu że nas widziała za *kratą*. Felicyta mówiła tak prędko i niezrozumiale, że Franusia była pewną że wybiegłyśmy tylko na kilka minut za klasztorne wrota. Ale flamandka nie należała do rzędu istot któreby można przekupić samemi pieszczotami, a jeżeli Felicyta była przebiegłą, to pod tym względem Franusia w niczem jej nie ustępowała. Widząc że tu idzie o rzecz większej wagi, pod tym jedynie warunkiem zgodziła się na zachowanie tajemnicy jeżeli otrzyma zapłatę nie w pocałunkach, lecz w brzęczącej monecie. Było to dla nas łatwem, gdyż miałyśmy obiedwie dość pieniędzy, a co do mnie wolałam okupić tym sposobem milczenie tej przedajnej istoty niżeli wyjednać je sobie za pomocą pieszczot, jak to próbowała uczynić moja towarzyszka. Tak więc, polegając na niezbyt drażliwem sumieniu flamandki, udałyśmy się do naszej sypialni, i weszłyśmy tam nie spotkawszy się już z nikim.

— Dzięki Najświętszej Pannie, rzekła Felicyta zamykając drzwi za sobą; wszystko skończyło się pomyślnie, i nie potrzebujemy już obawiać się niczego. Czy jesteś bardzo zmęczona, moja droga? Miałabyś zapewnie ochotę rozebrać się i przez cały dzień leżyć w łóżku, wszak prawda? Ale nie, zaledwie będziemy miały czas umyć twarz i poprawić włosy, zanim głos dzwonka przebudzi nasze towarzyszki. Dziś my pierwsze wejdziemy do klassy, i fräulein pochwali nas z pewnością za naszą pilność. Będzie nas stawiać za wzór naszym koleżankom, dodała, śmiejąc się cicho.

Byłam tak wzruszona że nie mogłam jej odpowiedzieć. Teraz kiedy już zdawało się że wycieczka nasza ujdzie nam bezkarnie, mogłam już zastanowić się nad tem, na jak straszne niebezpieczeństwo wystawiłyśmy się dobrowolnie, i upadłszy na kolana zawołałam zalewając się łzami: „O! kuzynie Ulryku! kuzynie Ulryku!“

— Jakie też z ciebie jeszcze dziecko! rzekła panna d'Alvan, spoglądając na mnie z pogardliwą litością.

XIII.

Dalszy ciąg opowiadania Dory.

Jedynem szczęśliwem następstwem naszej potajemnej bytności w Ogrodzie zoologicznym było to że straciłam na zawszę chęć do podobnych wycieczek. Kiedy zgodziłam się na to aby towarzyszyć Felicycie, uważałam to sobie tylko za psotę do której nie przypisywałam wielkiej wagi, i nie przyszło mi nawet na myśl abyśmy przez to mogły znaleźć się w położeniu grożącem nam utratą dobrej sławy, bo w ogóle młode panienki nie mogą błąkać się bezkarnie w nocy po ulicach miesta. Z kilku słów które mi powiedział pan Dawid, domyśliłam się w jak drażliwem i dwóznacznem położeniu postawiłyśmy się dobrowolnie. Byłam już w tym wieku, że mogłam zrozumieć coś podobnego, jeżeli ktoś zwrócił na to moją uwagę, dla tego też umiałam się oprzeć wszelkim przymileniom i namowom Felicyty d'Alvan, i nic w świecie nie zdołałoby mnie skłonić abym w jej towarzystwie wyszła tylko za próg naszego domu. Kochałam moją przyjaciółkę równie jak dawniej, ale przestałam już uważać ją za wzór godny naśladowania, przestałam wierzyć ślepo w jej rozum i zdrowy sąd o rzeczach, słowem uczułam że pod żadnym względem nie jest odemnie rozumniejszą i doskonalszą, i dla tego nie chciałam już ulegać jej jak niewolnica.

Felicyta zdawała się zmartwioną czyli raczej niezadowolnioną z powodu takiej zmiany; oskarżała mnie o zdradę, niewdzięczność i różne przekroczenia względem naszej przyjaźni; ale jakkolwiek przykre mi były podobne oskarżenia, znalazłam w sobie dość siły do oparcia się wszelkim jej namowom zachęcającym mnie do nowych przekroczeń. Siły tej dodawało mi wspomnienie o kuzynie Ulryku, gdyż przywiązywałam bez porównania wyższą cenę do pochwały mego opiekuna, niżeli do przywiązania Felicyty d'Alvan.

Raz nakoniec Felicyta odezwała się do mnie: „Doprawdy, moja droga, jesteś tak silnie przekonaną że popełniłaś grzech śmiertelny, że zapewnie, dla zrzucenia takiego ciężaru z sumienia zechcesz wyjawić wszystko przełożonej lub komuś innemu.“ Odpowiedziałam jej na to śmiało, że skoro raz przyrzekłam zachować tajemnicę, to ani namową, ani prośbą, ani groźbą nikt nie zdoła wymódz tego na mnie abym ją zdradziła. Miałam prawo to powiedzieć, gdyż pomimo mej żywości nie wyjawiłam nigdy jeszcze powierzonego mi sekretu.

Na tem skończyło się nasze małe nieporozumienie, uściskałyśmy się ze łzami w oczach, i pozostałyśmy równie dobrymi jak dawniej przyjaciółkami.

Wkrótce po tem rozpoczęły się wakacye letnie; wyjeżdżając do Rockborough zabrałam z sobą kilka akwarell które wykończyłam bez pomocy nauczyciela rysunków. Wspomniałam już, jak mi się zdaje, że miałam szczególniejsze zamiłowanie w malarstwie, i że jeszcze w Saltpool nie było milszej dla mnie rozrywki nad odtwarzanie na papierze wszystkiego na co patrzyłam, i zaliczałam zawsze papier i ołówek do najcenniejszych dla mnie przedmiotów. Nie ma więc w tem nic dziwnego że czułam się prawdziwie szczęśliwą kiedy na pensyi zaczęłam brać lekcye rysunków. Arytmetyka, jeografia, historya, gramatyka, wysuwały się z zadziwiającą łatwością z mej pamięci, w muzyce niezbyt wielkie czyniłam postępy, ale do języków i rysunków miałam niezwykłe zdolności. Po francuzku i po niemiecku mówiłam równie płynnie jak mym rodzinnym językiem, ale poprawniej jeszcze, a po kilku lekcyach stałam się najulubieńszą uczennicą naszego nauczyciela rysunków. Ceniłam wysoko sztukę malarską, to też starałam się korzystać z każdej czynionej mi uwagi, a każdą wolną od nauk chwilę spędzałam najchętniej przy moich stalugach. Dzięki temu czyniłam szybkie i wielkie postępy, i nauczyciel rysunków obsypywał mnie takiemi pochwałami że mogłam łatwo stać się zarozumiałą; dla tego też bardzo mi było przykro że kuzyn Ulryk zdawał się nie dostrzegać mego talentu, lub też lekceważyć go sobie, ta obojętność była tem boleśniejszą dla mnie że przywiązywałam wielką cenę do pochwał mego opiekuna. Przywoziłam zawsze do Rockborough moje najlepsze rysunki, ośmieliłam się nawet zwrócić uwagę kuzyna Ulryka na moje arcydzieła; pomimo to spotkało je zawsze jednakowe przyjęcie: szybki

rzut oka, po nim głębokie westchnienie, a nakoniec zimna pochwała: „Wcale dobrze, Doro, wcale dobrze!“ wymówione z widocznem roztargnieniem. Wyznaję że mnie to gniewało, i pod wpływem rozdrażnienia zawnioskowałam, że kuzyn Ulryk pomimo swego wykształcenia i głębokiej nauki, nie zna się wcale na malarstwie, i że nie warto nawet pokazywać mu rysunków. I w czasie tych wakacyj nie zaszło nic takiego coby mnie skłoniło do powzięcia odmiennego zdania; opiekun mój był dla mnie równie dobrym, czyli raczej był dla mnie jeszcze lepszym niż dawniej, chociaż zdarzały się chwile w których zdawało się że obecność moja niepokoi go i drażni, chwile w których był niepodobnym do samego siebie, i w których przychodziło mi na myśl że mu sprawiam wiele kłopotu, i że zadaje sobie pytanie jakim sposobem zdoła mnie się pozbyć. Co do moich rysunków, patrzył na nie równie obojętnie jak dawniej.

Przywiozłam z sobą, jak to już powiedziałam, kilka akwarell, a kiedy rozłożyłam je na stole, kuzynka Maryanna, która co prawda nie umiała rozróżnić akwarelli od kolorowanego sztychu, nie mogła się powstrzymać od pochwalenia mnie za postęp tak widoczny. Kuzyn Ulryk przeciwnie, brał po kolei w ręce każde moje arcydzieło, a przyjrzawszy mu się kładł na stole nie powiedziawszy ani słowa. Tłomacząc sobie to milczenie bardzo niekorzystnie, i sądząc że kuzyn Ulryk nie przyznaje mi żadnej zdolności do malarstwa, zawołałam porywczo:

— Potrafiłabym zrobić coś daleko lepszego gdybym się uczyła malować olejno; przekonanoby się wtenczas że mogę wykonać coś pięknego, gdyż ten sposób malowania podoba mi się bez porównania więcej.

— Czy są na pensyi panienki uczące się malować olejno, zapytał kuzyn Ulryk.

— Nie ma obecnie; w przeszłym roku było ich kilka, ale ja nie byłam jeszcze dość posuniętą w rysunkach abym mogła uczyć się z nimi, teraz zaś zapał ostygł zupełnie, co dla mnie jest niepomyślnem i bardzo przykrem, rzekłam zbierając ze stołu moje akwarelle traktowane z takiem lekceważeniem i zdradzając niecierpliwemi ruchami, jak dalece było to dla mnie dokuczliwem.

— Najlepiej zawsze poprzestać na tem co posiadamy, powiedział mój opiekun.

Przyznaję że w tej chwili nie był dla mnie zbyt sympatycznym, a kiedy jeszcze wychodząc z pokoju spojrzałam na niego i poznałam że go bawi moje rozdrażnienie, powiedziałam sobie że nietylko nie uznaje mego talentu, ale jeszcze mało go obchodzą moje zamiłowania; później przyszło mi na myśl że wolałby może abym z równą gorliwością oddała się jakiej innej sztuce lub nauce. Jakże byłam niesprawiedliwą dla mego drogiego, nieocenionego opiekuna. Wracając do Antwerpii, wiozłam z sobą list do miss Little, którego treść poznałam wkrótce. Doktór Ford był tak zadowolnionym z moich postępów w rysunkach, że życzył sobie bardzo ażebym zaczęła niezwłocznie uczyć się malować olejno, i prosi miss Little, aby wyszukała dla mnie zdolnego nauczyciela.

Miss Little i pani Gobeaux zaczęły wysławiać niezrównaną szczodrobliwość mego opiekuna. „Znać w tem doktora, Ford, zawołały, zawsze hojny, zawsze szczodry gdy idzie o twoje dobro lub o zrobienie ci przyjemności, szczęśliwą jesteś że posiadasz takiego opiekuna, mamy też nadzieję że zechcesz dać mu dowód swej wdzięczności, przykładając się pilniej jeszcze do wszystkich nauk.“

— Trudno byłoby zaprzeczyć że to dziwny zbieg okoliczności, skoro przypominamy sobie jaką propozycyę uczyniono nam w przeszłym tygodniu; powiedziała miss Little do pani Gobeaux.

Pani Gobeaux skinęła potakująco głową i powiedziała:

— Jeżeli będziemy mogły zapewnić mu sześć uczennic, co zdaje się bardzo prawdopodobnem, wartoby go sprowadzić. W istocie jest to dziwny i szczęśliwy zbieg okoliczności; z którego jestem bardzo zadowolniona. Sądzę nawet że należy napisać do niego natychmiast, gdyż jest to najlepszy nauczyciel malarstwa z tych którzy mogą jeszcze przyjąć zobowiązanie, i gdybyśmy ociągały się dłużej, ktoś inny mógłby nas uprzedzić.

— Ma pani słuszność, odpowiedziała miss Little. —Możesz już odejść, miss Fleming, do swych towarzyszek, i być pewną że niedługo zaczniesz brać lekcye malarstwa.

Nie posiadałam się z radości; była to jedyna rzecz której pragnęłam gorąco, z całego serca, a nie śmiałam o nią prosić. Nie zdołam nigdy okazać dość wdzięczności kuzynowi Ulrykowi że spełnił moje życzenie wyrażone tak opryskliwie. Jedną tylko ciemną chmurkę dostrzegłam na horyzoncie: Felicyta nie będzie korzystać wraz ze mną z tych upragnionych lekcyj, kilka wykonanych przez nią rysunków pobudziły mnie do tak serdecznego śmiechu, że zniechęcona porzuciła na zawsze pendzle i ołówki; nie weźmie więc udziału w tem co mi sprawia tyle radości, a co gorsza, nie potrafi nawet zrozumieć tej radości. Stałyśmy na równi we wszystkich innych naukach, z wyjątkiem muzyki w której znów ona mnie przewyższała, co utrzymywało między nami zupełną równowagę.

Tego jeszcze wieczora napisałam do kuzyna Ulryka list, trochę, jak mi się zdaje, lepiej napisany i ułożony od tych które posyłałam do niego dwa lata temu; a jeżeli nie zawsze umiałam znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia mu moich uczuć, to sądzę że musiał zrozumieć to przynajmniej że serce moje umie być wdzięcznem.

Upłynęło kilka dni, i zaczęłam oczekiwać z pewną ciekawością mego nowego nauczyciela, którego nazwisko nie było mi dotąd znane. Miss Little nie była zbyt rozmowną zwłaszcza z uczennicami, i zdawało jej się że mi dość powiedziała skoro mnie uwiadomiła, że będę brać lekcye malarstwa wspólnie z kilku innemi panienkami. W dniu wyznaczonym na pierwszą lekcyę, zebrałyśmy się wszystkie w pracowni, i oczekiwałyśmy przybycia tajemniczego profesora. Lekcya miała się zacząć o czwartej, wybiło pół do piątej a jego nie było jeszcze.

— Widać że się spóźnił pociąg idący z Brukselli, powiedziała miss Little. Przysunęłyśmy się wszystkie do siebie, powtarzając z pełnem podziwienia zadowolnieniem: „Czy słyszysz? przyjeżdża z Brukselli po to jedynie aby nam dawać lekcye.“ W tejże prawie chwili odezwał się dzwonek przy drzwiach wchodowych.

— Otóż idzie! powiedziała spokojnie miss Little. potem wstała, wstrząsnęła suknię aby fałdy układały się piękniej, i wyszła z pracowni na spotkanie przybywającego.

Opanował mnie wtenczas jakiś przestrach; domyślałam się że mnie przedstawią jako uczennicę rokującą największe nadzieje, i serce mi biło na samą myśl że może nie potrafię usprawiedliwić tak pochlebnego mniemania. Wysunęłam się więc z grona mych towarzyszek, poszłam na drugi koniec pokoju, i zaczęłam rozglądać porozkładane tam albumy i szkice. Drzwi otworzyły się nakoniec, miss Little weszła z profesorem i zaczęła mu przedstawiać uczennice, wymieniając ich nazwiska. Ja tym czasem przeglądałam ciągle rysunki, nie śmiejąc spojrzeć w tamtą stronę.

— Miss Fleming proszę się zbliżyć! zawołano nakoniec dość ostro; panie Dawid, przedstawiam panu miss Fleming.

Podniosłam prędko głowę posłyszawszy to nazwisko, i zaczerwieniłam się jak piwonija, gdy zobaczyłam przed sobą gentlemana którego spotkałyśmy na *Zielonym placu*. Okoliczności towarzyszące pierwszemu naszemu spotkaniu, przedstawiały się żywo w mej pamięci; zobaczyłam, tak wyraźnie jakby się to działo w tej chwili, puste i ciemne ulice Ernesta Moore, Felicytę i wszystko zgoła, i byłam tak zmięszana że miss Little musiała to dostrzedz; nakoniec pan Dawid zlitował się, jak widać, nade mną, bo odwrócił głowę w inną stronę.

— Cieszy mnie to że uznajesz się winną, miss Fleming, i czujesz to że ci wypadało czekać razem z innemi panienkami na pana Dawid, powiedziała miss Little, a następnie uwiadomiła pana Dawid kto dotąd uczył mnie rysować i jak daleko już postąpiłam.

Przez ten czas stałam ciągle z oczami spuszczonemi, zmięszana, zarumieniona, w głowie mi szumiało, nie słyszałam prawie co mówiono, a nie rozumiałam tego co słyszałam; jedno tylko pytanie krążyło mi ciągle w myśli: „Czy pan Dawid poznał mnie także, i co uczyni w razie jeżeli pamięć jego okaże się równie dobrą jak moja? Wprawdzie Ernest Moore zapewnił nas że można mu zaufać, ale wszakże (podług zdania pensyonarek) wszyscy nauczyciele i nauczycielki są do siebie podobni, żyjący po to aby prześladować swe uczennice, zobowiązani przysięgą wzbraniać im wszelkich rozrywek. Nie zapomniałam o naszej nocnej wycieczce, o! nie z pewnością, ale dzięki memu pobytowi w Rockborough, ta nieszczęsna sprawa nie była już tak ciągle obecna w mym umyśle, i myślałam o niej jakby o czemś takiem co się stało bez porównania dawniej niż się stało rzeczywiście; dla tego też nagłe zjawienie się na pensyi jednej z osób biorących udział w tej szalonej wycieczce, nietylko rozbudziło znów we mnie obawę aby się to nie wydało, ale jeszcze nasuwało myśl że się to wkrótce stać może. Przerażała mnie sama myśl że co tydzień będę musiała widywać pana Dawida, i ubolewałam nad tem że jakiś zgubny przypadek postawił go znów na mej drodze. W końcu jednak uspokoiłam się o tyle że mogłam widzieć i słyszeć co się koło mnie działo.

— Zresztą, pan sam oceni najlepiej zdolności swoich uczennic, mówiła miss Little, kończąc jak widać jakąś przemowę; i mam nadzieję że pan nie będzie miał powodu uskarżać się na brak uwagi lub pilności z ich strony. Powiedziawszy to miss Little pożegnała pana Dawid'a uprzejmym ukłonem, a nas skinieniem głowy, i wyszła z pracowni.

Zastąpiła ją natychmiast fraülein Netta, która usiadła przy oknie i zaczęła cerować pończochy, wywiązując się tym sposobem ze swych podwójnych obowiązków, to jest naszej ochmistrzyni, i osoby obowiązanej utrzymywać naszą bieliznę w całości. Ale że biedna Netta miała wzrok tak krótki że trudno jej było dojrzeć koniec swego nosa, a mówiła tylko po niemiecku, więc jako dama klassowa była zupełnie nie na swojem miejscu.

(d. c. n.)

Opis do N-ru 41.

(*Dokończenie*).

N. 43. Ubranie z długim jedwabnym szalikiem.

Miękki i lekki jedwabny szalik dający łatwo zarzucać się i wiązać liczy 194 cent. długości a 45 szerokości i jest ze świecącej złotawej tkaniny w turecki deseń z wrobioną w równych odstępach 1 cent. szneIą koloru heljotropu. Tegoż koloru frendzla z jedwabnej płaskiej szneli 11 cent. szeroka, stanowi zakończenie brzegów.

N. 44. Opis przy ryc. 1 w N-rze 40.

Opis do N-ru 42.

N. 1 — 3. Ubrania spacerowe dla dam i dzieci.

N. 1. Ubranie z paletocikowym stanikiem dla panienki lat 8 — 12.

Model sukienki odrobiony był z ciemno bronzowego dyagonalu, z fabrycznie tkanemi szlakami w prążki ciemno ponsowego i złotego koloru. Przemarszczona spódniczkowa tunika, z przodu rozchodząca się do dołu, z tyłu jest trochę ściągnięta i w bufę podpięta. Stanik paletocikowy ma odcinaną baskinę przy boczkach i przodach, a plecy krajane w jednym ciągu z dodaniem na fałdy. Duży kołnierz pelerynowy może być przypinany.

N. 2. Ubranie z krótkiem okryciem.

Dystyngowane spacerowe ubranie składa się z sukni ciemnej wełnianej i pluszowego okrycia takiegoż samego koloru. Z pod podpiętej, szeroko z przodu otwartej tuniki, widać spódnicę w bufki przemarszczaną, u dołu ogarnirowana dwoma marszczonemi, 8 — 10 cent. szerokiemi falbankami. Pluszowe okrycie z jedwabną podszewką, oszyte szeroką sznelową frendzlą, ozdobioną sznureczkami dżetu lub perełek.

N. 3. Ubranie dla małej dziewczynki.

Model odrobiony był z materyału wełnianego gładkiego i w kratę; na 4 cent. szerokie kontrafałdy przy vetement, do wcięcia w pasie zaszyte a dalej luźno puszczone, dodaje się w środku pleców i z brzegów przodu, potrzebną ilość materyału. Dolny brzeg vetement przyszywa się w koło odwracanym szwem na spódniczce, ułożony w 4 cent. szerokie kontrafałdy. Duży, podwójny kołnierz związany na sznury z metalowem okuciem i pasek Medicis, z przodu i z tyłu 16, z boków 4 centym. szeroki, z przodu sznurowany, zdobią vetement.

N. 5—6. Kołnierz chusteczkowy i mankiet, garnirowany kolorową koronką.

Dwa cent. szeroki a 80 długi podwójny pasek tiulowy, w rogach odpowiednio do wykroju kwadratowo zaszyty, stanowi fason chusteczki, na którym naszywa się na dwie strony, 4 c. szerokie plisowanie z crepe-lisse, na 1 cent. wystające z pod sutej, środkiem naszytej riuszy. Górny brzeg paska oszyty 5 cent. szerokiem plisowaniem na którem dana koronka wyszywana kolorowym jedwabiem. Chusteczkę zapina się z boku kwiatem albo kokardą ze wstążki. Mankiet zagarnirowany plisowaniem i koronką, może być noszony na długim rękawie, lub przyczepiony do brzegu rękawów do łokcia.

N. 7. Koronka cerowana na tiulu.

Całe tło wyszyte jest cienkiemi koronkowemi nićmi a deseń wywodzony świecącemi, grubszemi nićmi płaskiemi, albo jedwabiem kolorowym. Odpowiednią wstawkę podamy na ryc. 34 w N-rze 43 Tygodnika.

N. 8. Szlak szeroki do haftu na meble.

Na suknie, repsie, aksamicie lub pluszu meblowym, koloru czarnego, ciemno bordo, jasno popielatego albo piaskowego, deseń haftuje się ściegiem płaskim i sznureczkowym, włóczkami lub jedwabiami. Liście, gałązki i wąsy kolorami zielonemi do cieniu, kwiaty mogą być lila i białe do cieniu a sypułki żółte na pręcikach orzechowych lub też stosownie do tła dobranych kolorów.

N. 9—10. Koszyk z postumentem do robót.

Na 72 cent. wysokim trzcinowym postumencie umieszczony jest w górze płaski koszyczek z przykryciem, u dołu woreczek ściągany. Koszyk zrobiony jest zręcznie, z czarno lakierowanych trzcinek i cały wyłożony od środka materyą ciemno ponsową z której robi się także woreczek. Największą ozdobę koszyczka stanowi lambrekina z atłasu lub ciężkiej materyi, z aplikacyą z ciemniejszego aksamitu, której brzegi obwiedzione są jedwabnym sznureczkiem, a za tym wyszyte sznelą, koloru vieil-or. Brzegi lambrekiny oszyte sutą frendzlą z kwaśdkami.

N. 11 — 12. Fartuszki dwa włoskie, płócienne haftowane.

Obadwa fartuszki robią się z bryta prostego materyi, alpagi lub płótna, mającego 100 — 110 cent. długości a 50 — 55 szerokości, w górze wywiniętego na wierzch 35 cent.; ażeby wywinięcie lepiej wykładało, daje się w środku małą zaszewkę. Rycina 11 przedstawia fartuszek biały płócienny, ozdobiony haftem płaskim i sznureczkowym, bawełną białą i kolorową. Za haftem dana kratka ażyrowa, a dół i wywinięcie oszyte frendzlą macramé w kolorach haftu. Rycina 12 przedstawia fartuszek haftowany ściegiem sznureczkowym lub łańcuszkowym i oszyty koronką nicianą.

N. 13—14. Teczka na papier listowy. Malowanie na skórze lub drzewie.

W środku teczki dane są dwie kieszonki na papier i karty pocztowe; wierzch zdobi malowanie na drzewie albo robota na skórze. Na rycinie 14 dajemy czwartą część deseniu, któren nadaje się do różnych robót; można odmalować go sepią na jasno politurowanem drzewie, wyciąć ze skóry i przykleić jako aplikacyę, gumą do drzewa, albo narysować na kolorowym safjanie, naciąć podług rysunku brzegi ostrym scyzorykiem, zdjąć ostrożnie zwierzchnią powłokę safjanu i tym sposobem otrzymać deseń odmiennego koloru od tła. Ten rodzaj roboty opisywaliśmy dokładnie w roku zeszłym w Tygodniku.

N. 15. Woreczek do robót Haft i aplikacya na hupce.

Dolna część woreczka 13 centym. szeroka a 8 wysoka, zrobiona była z dwóch kawałków hupki, na której dana aplikacya z czarnego sukna i lekkie wyszycie filozelą o dwóch nitkach. Górna część woreczka z kolorej materyi.

N. 17—18. Kapotka aksamitna.

Model zrobiony był z aksamitu lila bez sztywnego fasonu, tylko wprost naciągany na bufki na drucikach lub cienkich trzcinkach. Płaska główka zakończona suto nadmarszczonym karczkiem 8 cent. szerokim. Od spodu rondo podszyte blado lila materyą surach, fałdowaną w sposób wskazany na ryc. 18; szarfy z materyi złożonej podwójnie. Bukiecik bratków i szpilki złączone łańcuszkiem stanowiły przystrojenie kapotki.

N. 20. Szalik siatkowy jako zarzutka na głowę. Próbki roboty na ryc. 11 i 12 w N-rze 43 Tygodnika.

Szalik mający 160 cent. długości a 42 szerokości zrobiony był z ponsowego kordonkowego jedwabiu i wyszyty nićmi złotemi i srebrnemi. Na modelu końce szalika zdobił cały szlak podany na ryc. 11 w N-rze 43, brzegi podłużne tylko szlaczek wązki, a tło rzucik wyszyty podług ryc. 12. Brzegi w koło oszyte były koronką złotą 3 cent. szeroką. Można jednak mieć robotę mniej kosztowną a jednak bardzo ładną, wyszywając deseń kordonkiem srebrnego koloru, a tylko kontury obwodzić nitką złotą. Na deseniu złoto jest oznaczone kolorem ciemniejszym a srebro jaśniejszym. Pod cały szalik można dać podszewkę fularową, tego co siatka koloru.

N. 21 — 22. Płaszczyk dla młodej panienki.

Płaszczyk mało różniący się formą od paletota można zrobić z szewiotu albo waterproof, na lekkiej flanelowej podszewce, podług modelu miar, danych na rycinie 22. Plecy w odległości 18 cent. od wykroju szyi są kilka razy w odstępie 1 cent. przemarszczone, dalej w fałdy ułożone, które są w pasie przeszyte a poniżej w o l n o puszczone. Przody zapinają się na dwa rzędy guzików a pasek 6 centym. szeroki wyszywa się między szwy boczne i zapina z tyłu na guzik. Kołnierzyk mały stojący.

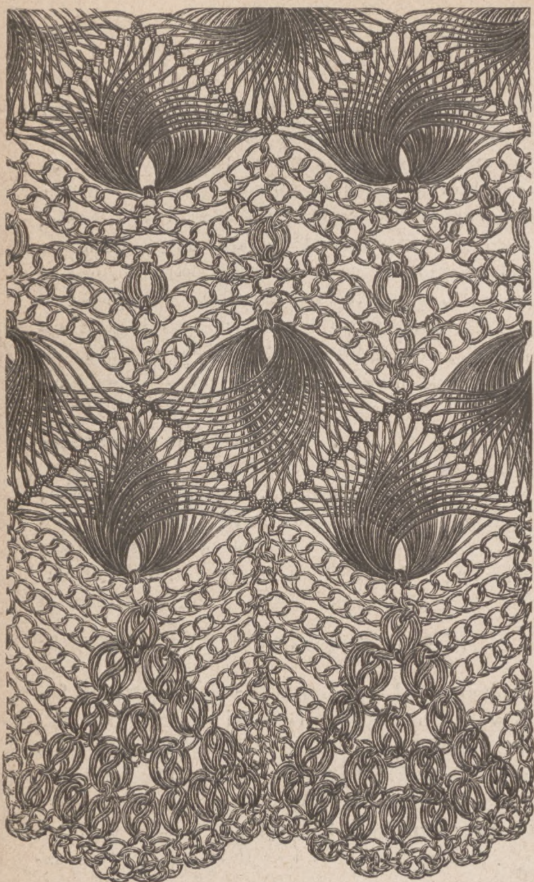
N. 24 i rycinie 6 w N-rze 43. Ubranie z długim paletocikowym stanikiem.

Model ten nadaje się zarówno do gładkich jak i do deseniowych lub w drobną kratkę wełnianych materyałów. Spódnica zakończona jest napowietrznem, w drobne fałdy układanem plisowaniem, 58 centym. szerokiem, oszytem u dołu 4 cent. szerokim paskiem atłasu a 6 centym. nad takowym, przeszywanem, ażeby fałdy się nie rozrzucały. Draperyę z przodu układa się z prostego, poprzecznie obróconego bryta, z boków dużo przyfałdowanego. Bryt tylny podpiąć w sposób wskazany na ryc. 24, z boków na złączeniu draperyi dać 6 cent. szerokie kokardy z podwójnie złożonego atłasu. Długi paletocikowy stanik



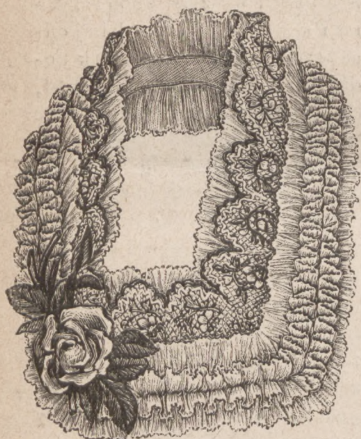
N. 1 — 3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z paletocikowym stanikiem, dla niedorosłej panienki. N. 2. Ubranie z krótkiem okryciem. N. 3. Ubranie z vetement dla małej panienki.



N. 4. Koronka szydełkowa i robiona na widełkach, oraz tło na chustki ryc. 35 w N-rze 43.

z odcinaną baskiną, przy krajaniu przodów zapinanych na dwa rzędy guzików, ma dodane patki 24 cent. szerokie, w których przecina się otwory, a od spodu podszywa się kieszonki. Kołnierz z podwójnym ranwersem z atłasu i wełnianego materyału; guziki z konchy perłowej nabijane złotem. Pod długi, otwarty wykrój kołnierza, można dodać części kamizelkowe.



N. 5. Chusteczka z koronką wywodzoną kolorowo.



N. 6. Mankiet do chusteczki ryc. 5.

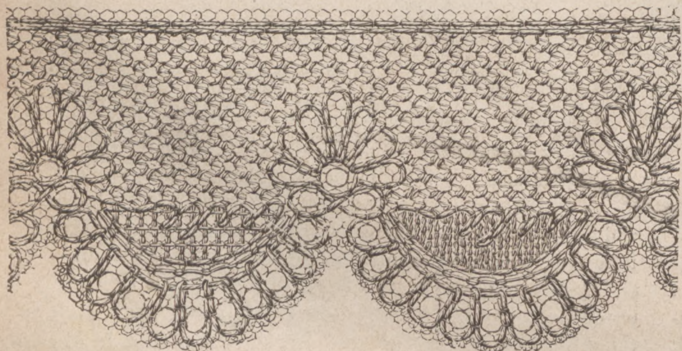
Opis do N. 43.

N. 1—2. Sukienka princesse zdobna sznurami.

Ciemno zielona wełniana sukienka przybrana jest ponsowemi atłasowemi wypustkami i sznurami jedwabnemi. Plecy u dołu założone są w głębokie kontrafałdy, przeszyte w odstępie 25 centym. od brzegu; przody i boki zakończa falbana 20 cent. szeroka.

N. 9. Sukieneczka wycięta z krótkiemi rękawkami.

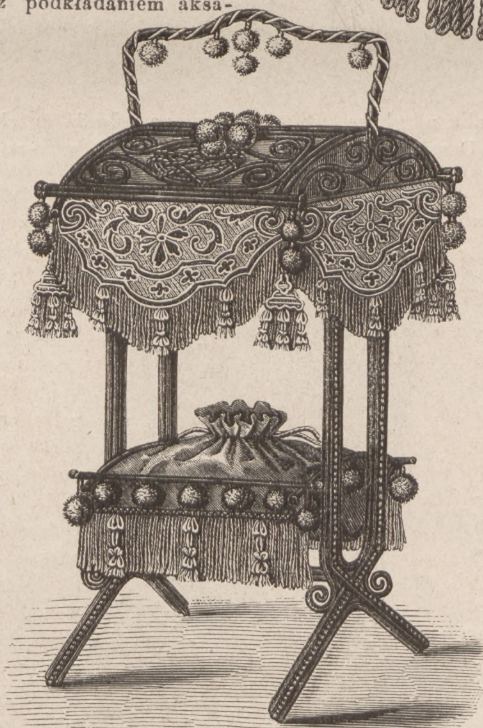
Uszyta z popielatego wełnianego materyału, zapina się z tyłu na guziczki z konchy perłowej z przodu zaś ma plastron przemarszczany poprzecznie. U dołu dane plisowanie 6 cent. szerokie, po nad niem wolant 18 centym. szeroki układany w kontrafałdy, którego przyszycie przewiązane szarfą z popielatego atłasu 20 cent. szeroką. Z atłasu dane wypustki przy plastronie i drobniutka falbaneczka przy wykroju szyi i rękawach.



N. 7. Koronka robiona na tiulu, do chusteczki rycina 5.

N. 8. Szeroki szlak do mebli, portjer i t. p. Haft kolorowy.

N. 9. Część lambrekiny do koszyczka do robót, ryc. 10. Haft z podkładaniem aksamitu.



N. 10. Koszyk stojący do robót. Patrz ryc. 9.

N. 5. Sukienka z krótką tuniką i stanikiem z baskiną.

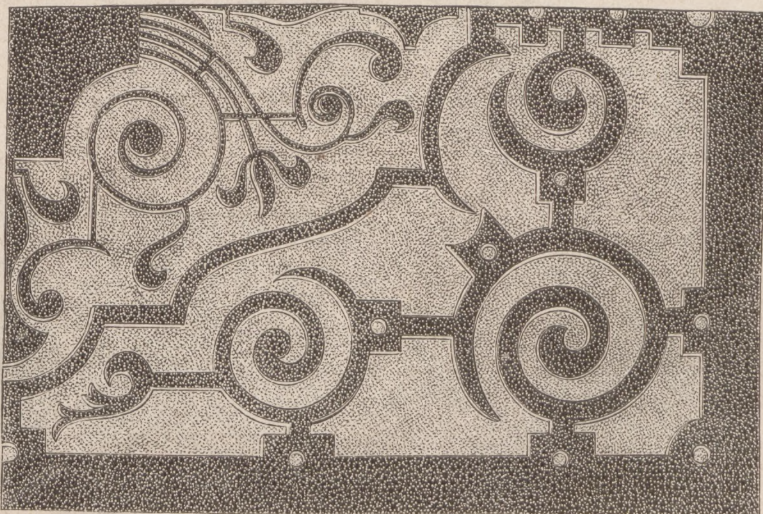
Na to ubranie użyty jest materyał zakończony z brzegów kolorowemi szlakami 10 — 14 centym. szerokiemi, przez co przypomina modne sztuki chustek używane na suknie. Rycina 5 przedstawia suknię z ciemno bronzowego materyału, z kolorowemi szlakami, przybraną bronzowym atłasem. Stanik przedłużony z tyłu frakowo, z przodu ścięty w ząb ma wązki plastron, kołnierz, kokardę i wykłady przy rękawach dane z kolorowych szlaków. Spodnica nie dochodząca do ziemi, przybrana jest u dołu trzema po 4 cent. szerokiemi falbankami złożonemi w kontrafałdy, po nad któremi z przodu i z boków dany pas materyału 46 cent. szeroki wycięty w patki po 20 cent. długie, u góry 6 u dołu 4 centym. szerokie. Między przecięcia wszyte trójkąty atłasowe drobno fałdowane. Na przedni bryt tuniki potrzeba kawałka materyału 113 cent. długiego, 115 szerokiego, z boków sfałdowanego do 63 centym. i przytwierdzonego do sukni; na ten bryt jak również na pas wycięty w patki, bierze się materyał poprzecznie, aby szlak wypadał do dołu. Z tyłu dany jest bryt prosty podpięty w głębokie fałdy, lub tak jak na ryc. 6.



N. 11. Fartuszek włoski. Haft kolorowy na płótnie i frendzla macramé.



N. 13. Teczka na karty pocztowe. Malowanie na drzewie.



N. 14. Czwarta część deseniu na teczkę do ryc. 13. Malowanie na drzewie albo robota na safianie.

N. 7. Suknia z odmiennym stanikiem (Spencer)

Spódnica z dwoma szerokiemi plisowanemi falbanami i krótka tunika są z granatowego kaszmiru, stanik zaś jest z granatowego atłasu w biały rzucik. Tunika z boków zebrana w fałdy związane sznurem, z tyłu dopełniona prostym podpiętym brytem. Stanik zapięty na dwa rzędy ma baskinę odcinaną z przodu, z tyłu zaś przy plecach krajanych w całej długości ufałdowaną a panier. Kapelusz granatowy filcowy zdobny riuszą ze wstążki.



N. 12. Fartuszek włoski. Haft kolorowy na płótnie i koronka niciana.



N. 15. Woreczek do robót. Haft na hubce.

N. 8. Suknia ze stanikiem skośnie z boku spiętym.

Przy sukni popielatej kaszmirowej drobniutko plisowane falbanki objęte są wązko popielatym atłasem. Stanik oryginalnie zapięty z przodu, ma z tyłu frakową baskinę; duże przyozdobienie stanowi rodzaj podwójnego kołnierza, danego przy przodach mocno na siebie zacho-

dzących, zàpiętych niewidocznie na haftki a z boku przytrzymanych kokardą z wązkiej wstążki; baskina u dołu rozchodzi się w dwa zęby. Odpowiedunio do kołnierza i rękawy mają podwójne mankiety. Kapelusz czarny filcowy zdobny popielatem piórem i takąż materyą.



N. 17. Kapotka aksamitna naciągana. Zobaczyć podszycie ronda na rycinie 18.

N. 15—17. Pokrycie na doniczkę. Robota fantazyjna.

Rycina 15 przedstawia pokrycie na doniczkę plecione z żółtawego sitowia 7 centym. wysokie, w górze 62, w środku 75 u dołu 44 centym. obwodu mające, ozdobione wyszywanemi pasami i riuszą wyciętą w zęby, tworzące jakby lambrekinę. Pasy wskazane na ryc. 16—17 wyszyte są kolorowym kordonkiém lub taśmą. Ząbki brzeżne na ryc. 16 składają się z dwóch ściegów, zaczepionychza brzeg taśmy jak to wskazuje litera *a*, poczem zaś na trzeci ścieg przeprowadza się nitkę między dwoma poprzedniemi podług litery *b*. Długa nitka w ząbkach tworzy się gdy igłę wkłada się na nowy ścieg w dalsze miejsce. Na rycinie 17 widzimy ząbki robione w ten sposób jak w koronce armeńskiej; na całe pokrycie trzeba dziesięciu pasków po 34 cent. długich które krzyżują się w kratę podług ryc. 15. Na riuszę fałdowaną w kontrafałdy potrzeba paska 180 centym. długiego, 7 szerokiego, wyciętego w zęby po 9 c. szerokie, po 3 głębokie.

N. 16. Kapelusz ze szkockiej materyi, z rondem z aksamitu czarnego.



N. 20. Szalik na głowę. Siatka cerowana jedwabiem, złotem i srebrem. Deseń i próbki roboty ryc. 11 — 14 w N-rze 43.



N. 18 Podgarnirowanie ronda do kapotki rycina 17.

N. 18. Negliżyk upięty z chusteczki.

Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu 3 cent. szeroki, 53 długi, ogarnirowany koronką langwedocką, 5 cent. szeroką; do tego paską przyczepia się denko muślinowe 26 cent. średnicy mające. Na wierzchu upięta jest chustka z białej jedwabnej gazy, 40 cent. w kwadrat licząca, ze szlakiem ponsowym ze złotem, której brzegi wycięte w zęby podszyte koronką. Jeden róg chusteczki zwrócony do przodu podpięty puklami ze wstążki ponsowej ze złotem, trzy inne końce spadają z boków i z tyłu.



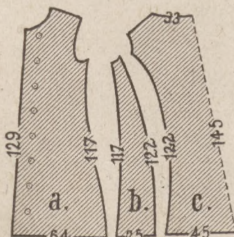
N. 19. Kapelusz pluszowy.

N. 19. Negliżyk ze wstążką i z muślinowemi kokardami.

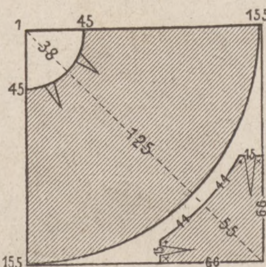
Pasek z podwójnie wziętego sztywnego tiulu, 3 cent. szeroki a 57 długi, z przodu zaszyty w ząb, służy za podstawę dopełnioną dodanym z przodu kawałkiem sztywnego tiulu 11 c. długim, $3\frac{1}{2}$ w środku, po 2 cent. w końcach szerokim; z tyłu przy środku paską założone są dwie małe fałdki. Dolny brzeg paska oszyty muślinowem plisowaniem, zakończonem tiulikiem, przysłoniętem plisowaną koronką 4 cent. szeroką.

(*d. n*)

N. 21. Płaszczyk dla niedorosłej panienki. Model i miary kroju na ryc. 22.



N. 22. Model kroju do płaszczyka ryc. 21.



N. 23. Model i miary kroju do burnusa r. 20 w N. 43



N. 24. Ubranie z długim paletocikowym stanikiem. Zobaczyć plecy na ryc. 6 w N-rze 43.



Pl. 443.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.